

LAS

KSIĄŻKA PRZEZNACZONA DLA DZIECI

od lat 6-^{iu} do 10-^{iu}

PRZEZ

Maryę Weryho.



WARSZAWA

W Drukarni J. Sikorskiego, pod zarządem A. Saładyckiego, Warecka Nr 14.

1893.

Дозволено Цензурою
Варшава, Августа 12 дня 1892 года.

UKOCHANEJ

Aniuni Jałowieckiej

Książkę tę poświęca

AUTORKA.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Las	I
Kuna	1
Jastrząb.	4
Marcin Kaleka	8
Borsuk	13
Przebiegły chrabąszcz.	17
Pożyteczna zabawa	22
Tchórz	28
Dąb i kruk.	32
Dzika kaczka	38
Garbus	45
Fijołek	57
Dwa czyżyki	63
Strachy w lesie	78
Dobre dzieci	82
Dudek	87
Pierwsza robota Kazia	98
Brzoza	102
W noc gwiazdkową	106
Co Zosia robiła w lecie	115
Bobry	120
Dlaczego dzieciół wciąż kuje	124
Żmija	127
Ciekawość	132
Przebiegłe wilki	138
Opowiadanie komara	141
Wiewiórka	147



L A S.

Był sobie duży i stary las. Widocznie istniał już oddawna, gdyż najbardziej wiekowi ludzie na wsi nie pamiętają kiedy drzewka w nim były młode.

Jedne pnie były tak grube, iż kilka osób razem nie zdołało ich objąć, inne znowu tak wysokie, że ledwie oko wiezchołka dosięgało.

Wiele las ten w ciągu długiego życia swego widział, dużo słyszał i dużo przecierpiał.

Nie z jedną nawałnicą deszczową, nie z jedną zamiecią śnieżną walkę staczał.

To też może dla tego był dziś tak spokojnym i litościwym dla każdego.

Hojnie w koło cień swój rozrzucał i w lecie chłodem darzył. Pozwalał zwierzętom kopać w zie-

mi legowisko i doły; w dziuplach drzew swoich chował wiewiórki i ich zapasy; gałązkami podtrzymywał gniazda ptasie, na listkach i igłach chował robaczki i od deszczu je przykrywał...

Czy zresztą można było wyliczyć wszystkie dobrodziejstwa, które las różnym istotom do koła wyświadczał?

Nigdy też nie stał spokojny. Prawie zawsze wierzchołki jego drzew pochylały się ku sobie, ruszały listkami i igłami, a tak szumiały, jakby opowiadały sobie dawne dzieje.

O! dużo miały sobie do opowiadania!

Jeżeli Anielka jest tego ciekawa, niech przeczyta następne historyjki, a dowie się o dziejach lasu.





K U N A.

Zwinięta w kłębek leżała kuna w dużej dziupli starego drzewa. Przymrużyła oczy, ogonem się przykryła i tak sobie marzy:

— Udało mi się, pysznie mi się udało! Wszystkie jajka wilcze powypijałam! To się zdziwi! Ale to głupi ptak, ani się domyśli, kto mu takiego figła wypłatał. Wrzasku po lesie narobi! Albo znowu awantura z królikami! Któżby potrafił zręczniejsze się uwinąć! Stare pierwszy raz wyprowadziły swoje małeństwa z nory. Skacze to wszystko jak niedołęgi i na światło patrzeć nie może. Przyprawiono je na łąkę do jakiejś trawy soczystej, dorwały się do niej, jakby nigdy nic lepszego nie miały, zajęły się swoim jadem i o bożym świecie nie wiedzą.

A ja z pod krzaka wtedy wypadam — i nuż dusić... Ani się obejrzały króliki, jak czworo na miejscu położyłam. Napiłam się ich krwi do syta. O! smaczna była, świeża! Mięso zostawiłam, co mi po niem? nic tak szczególnego!

Tu kuna wysunęła język, parę razy oblizwała pyszczek, jakby resztki krwi chciała na nim znaleźć.

Nie zawsze taka uczta przytrafia się, nie zawsze. Zasnęła kuna.

Spała przez całe południe i dopiero nad wieczorem się obudziła. Przetarła oczy, przeciągnęła się parę razy na swoim posłaniu, wreszcie wstała i wyjrzała przez szparę. Słońce już było bliskie zachodu.

— Trzeba wyruszać; pomyślała, czas na łowy w kurniku już zapewne śpią.

Długo tym razem nie wracała kuna do swej dziupli.

Nazajutrz dopiero, nad wieczorem, wpadła zdyszana. Była tak zmęczoną, że w jednej chwili usnęła. Jak długo spała nie pamięta, wiatr tylko ją zbudził. Otworzyła oczy i zaczęła sobie przypominać co onegdaj zaszło.

—....Ej, nie przed takimi zwierzętami uciekałam. A to zawsze ten głupi kogut narobi tyle kłopotu! Cichutko dotarłam do kurnika i jedną tylko kwoczkę porwałam. Jedną kwoczkę, wielkie rzeczy! A on zaraz wielką zrobił awanturę: obudził kurnik cały. Wtem psy ujadać zaczęły, pognały, popędziły za

mną. Pół dnia musiałam się po polu nie wiedzieć gdzie błąkać. Wszystko to są strachy na lachy! Jestem już stara kuna, potrafię z każdej biedy wyjść na sucho. Ale to już czas na mnie, czas...

Wstała, pogładziła swoje futerko i oczyściła ze słomy.

— Jak to szczęśliwie — pomyślała — że mam takie ciemne futro; nikt mnie wieczorem nie spostrzeże.

Biegnie kuna, prześlizguje się niepostrzeżenie koło budynków i nagle staje.

Widzi że przy samym kurniku leży jajko. Patrzy i niedowierza, żeby tak smaczny kasek, tak łatwo przyszło jej zdobyć.

Rzuca się na jajko, porywa je, a tu klap! Coś straszliwie huknęło — pułapka się zapadła.

W parę tygodni później gospodyni miała mufkę z ładnego futerka kuny.

Taki był koniec mądrego zwierzątka.





JASTRZĄB.

W dużym, starym lesie,
na najwyższym drzewie by-
ło gniazdo jastrzębia.

Odkąd jastrząb był tam,
nikt nie pamięta; ptaszki dawno go już spotykały,
jarząbki pamiętają go, kiedy jeszcze były piskląt-
kami, a gołębie powiadają, że jak daleko pamięcią
zasięgnąć mogą, jastrząb zawsze był w lesie. Zape-
wne że osiadł tam dawno; pewnie był stary, ale
któżby to tam poznał: zawsze miał jednakowe szare
pierce, ani mu się dziób stępił, ani szpony zmały;
jakim był, takim pozostał.

Dużo było ptaków w tym samym lesie, a każdy
tak się jakoś urządzał, iż drugiemu nie zawadzał.
Jeden tylko jastrząb wszystkim dokuczał.

Ile nieszczęść sprowadził, któżby policzyć zdołał!

Raz gołębica dzika siedzi na gniazdku, przygląda się swoim pisklątkom małym, cieszy się, że tak dobrze wyglądają, całuje, grucha, aż nagle słyszy jakiś szelest na gałęzi. Zadrżała, poleciała zobaczyć, czy jakie niebezpieczeństwo jej dzieciom nie grozi, a tu w jednej chwili wpada w szpony jastrzębia. Jęknęła biedna gołębica, usiłując wyrwać się ze szponów okrutnika, ale te jeszcze głębiej weszły w ciało ptaszka i tylko krople krwi, jak łzy ostatnie, spadły biednym sierotom do gniazdka.

Jak przeniosły tę stratę, jak się wychowały, niewiadomo. Połowa ich zapewne, bez opieki matki wymarła.

Raz znowu kuropatwa młoda, głodna i zziębnięta, przelatywała z pola do lasu tuż za matką, a ów drapieżnik niepostrzeżenie rzucił się na biedaczkę. Zanim się obejrzała, już było po dziecku. Krzyknęła przeraźliwie, skrzydłami bić poczęła, lecieć za nim chciała, ale któżby mu dorównał!

A ileż to jarząbków, jaskółek od niego zginęło!

Lecz nietylko same ptaszki on prześladował: napadał i na zwierzyńce; króliki i zajączki młode, często też w jego szponach ginęły.

Razu jednego zdarzył się taki wypadek:

Jastrząb gdzieś na żer leciał, w tem nagle spotyka zającą.

Z wysokości rzuca się w mgnieniu oka na ofiarę, nie przypuszczając, że sam sobie zgubę gotuje.

Szpony jego weszły w skórę zajaca i tam uwięzły.

Zając naturalnie uciekał, a jastrząb na nim siedzieć musiał.

Takim sposobem galopowali przez całe pole: ani się zając nie mógł wyswobodzić ze szponów jastrzębia, ani jastrząb wyrwać swoich pazurów.

Niewiadomo, kto komu dopomógł, ale po oswobodzeniu się, wyszli poszkodowani: jastrząb miał jeden palec złamany, a zając był pokaleczony i krwią zlany.

Wszystkie stworzenia w lesie dziwiły się, że jastrząb serca nie miał, nikogo nie żałował, do nikogo się nie przywiązał, z nikim nie przestawał, nawet dzieci swych własnych nie kochał.

Każdy ptaszek starał się jak najdłużej ze swemi dziećmi pozostać, a jastrząb-gołębiarz rodzone dzieci wypędza, skoro się tylko opierzą.

Dopóki są w gniazdku, to je pielęgnuje i karmi, ale skoro tylko im urosną skrzydełka, iż mogą wyfrunąć z gniazdku, jastrząb już je wyrzuca, nie pozwala nawet zostać w tym samym lesie, gdzie sam zamieszkuje.

Raz posłyszały ptaki w lesie przeraźliwy krzyk, wzleciały na wierzchołki drzewa i cóż widzą! jastrząb toczy walkę z własnymi dziećmi; wyrzuca je z lasu, one się opierają i wracają znowu, więc dzio-
bie je i szarpie.

— I cóż mu te dzieci szkodzą?—myśli zięba.

W tem wszystkie drapieżniki rzuciły się na gałęź. Po chwili wzbilo się w górę tylko parę młodych: stary jastrząb już nie żył.

Ludzie widać znaleźli sposób i na tego szkodnika.

Przymocowali do dużej gałęzi pręt kończysty, a pod nim zawiesili gołębia białego w drucianej siatce.

Jastrzębie dojrzawszy zdobycz, rzuciły się z impetem.

Stary jastrząb był najzręczniejszy; z wielką siłą pierwszy uderzył na ofiarę i został przebity na ostrzu.

Był to sposób okrutny, ale prawie jedyny na tych drapieżników.

Nikt w lesie nie żałował jastrzębia-gołębiarza nikt nawet dobrze nie wspomniał o nim, bo też przez całe życie dbał on tylko o siebie, a innym stale wyrządzał krzywdy.



MARCIN KALEKA.

— „O mój ptaszku, kukuleczko, wysoko lataasz...”

Tak śpiewał Marcin, staruszek, pobijając stare wiadro. Dzieci, Stasio i Władzio, siedziały przy nim, strugały jakieś gałązki i mówiły, że z nich będą obręcze. I one nuciły ze starcem, powtarzając tylko ostatnie wyrazy: „wysoko lataasz...”

— Jeszcze Marcinie zaśpiewaj nam o koniku.

I starzec śpiewał inną piosnkę, wciąż młotkiem bijąc w obręcze, dopóki nie skończył reperacyi całego wiadra.

Marcin ciągle był zajęty: to pobijał beczki i wiadra, to wyrabiał nożem drewniane łyżki i miski, to łapcie z kory plótł, to stare sprzęty naprawiał, a nigdy nie narzekał, zawsze był rad z każdej nowej roboty, zawsze sobie piosnki nucił, lub coś

wesołego opowiadał — za co w domu wszyscy go lubili.

Stary Marcin mieszkał w mieście i tylko niekiedy przychodził do gajowego, który miał żonę i dzieci. Byli to bardzo dobrzy i pracowici ludzie. Zawsze chętnie witali staruszka i starali się przyjąć go jak najlepiej, a on chcąc się odwdziżyć, pomagał im jak mógł.

Raz wieczorem rozmawiał z dziećmi i opowiadał im historie i bajki rozmaite.

— Dziadziu—powiada jeden z chłopców—ty zawsze opowiadasz nam tak dużo o innych ludziach. Dla czego nam o sobie nic nie powiesz?

— A cóżbym wam o sobie powiedział mógł; nie było moje życie ciekawe.

— Powiedz nam, dziadziu, dlaczego masz tylko jedną nogę, a drugą na kuli drewnianej. Czy na wojnie byłeś?

— O, dawne to były dzieje—odpowie stary Marcin—dawne a smutne.

Byłem bednarzem, tak jak dziś; przez cały dzień chodziłem po domach i uderzając drewnem o piłkę, dawałem znać o sobie. Nie dużo tam człek zarabiał, ale zawsze na życie wystarczało. Najgorzej to było o obręcze się starać. Do lasu chodzić trzeba było, gałęzi szukać, obręcze z nich robić. Las był daleko, musiałem czasem tam parę dni spędzać. Jeszcze w lecie pół biedy, ale w zimie, to się człowiek nabiedował niemało.

Razu pewnego wybrałem się i poszedłem do lasu. Mróz duży, myślę więc sobie: przez jeden dzień zdążę załatwić się i wrócić. Idę i śpiewam, ot, jak tu z wami. Dochodzę do lasu, a mróz coraz to się wzmaga; idę głębiej w las, zaczynam ciąć gałęzie jedne po drugiej i anim się spostrzegł, jak zmrok zapadł. Zimniej mi się jakoś zrobiło i zbierałem się do powrotu, a tu zadymka się wszczyna; idę dalej, coraz dalej, a wiatr coraz silniejszy. Śniegu tyle napadało, że drogi znaleźć nie mogę. Idę w jedną, drugą stronę, ani śladu drogi. Wiatr, zawierucha zaczyna się taka, że świata nie widać, a mnie ręce i nogi już tak skostniały, że utrzymać wiązki gałęzi na plecach nie mogę i ledwie się posuwam. Oj źle — myślę sobie, trudno, widać że dziś z lasu nie wyjdę, zmarznąć mi tu przyjdzie. Niech się tam dzieje co chce!... Położyłem wiązkę, przeżegnałem się i oparłszy się o drzewo, usiadłem odpocząć trochę. Śnieg mię zawiewa coraz więcej. Zimno ściska coraz mocniej. Ale nie długo to trwało: wkrótce przestałem czuć zimno, zamknąłem oczy, jakoś mi się dobrze zrobiło i usnąłem.

— O jej, dziadziu! — zawołały przerażone dzieci, — toś ty umarł, bo tatuś mówił, że jak na mrozie kto zaśnie, to już się nie obudzi!

— O tak, byłbym na wieki usnął, gdyby nie wasz ojciec. On to był moim wybawicielem.

— Jakże cię wybawił, dziadziu? opowiedz, prosimy!.. Czyżby tatko był wtedy w lesie?

— Właśnie wieczorem objeżdżał sankami las z psem swoim. Pocziwe psisko poczuło w śniegu człowieka i zaczęło czekać. Wasz ojciec zbliżył się do miejsca, gdzie pies się zatrzymał, przeraził się z początku, później podniósł i zabrał mię do domu. Tu mię dobrzy ludziska ocucili, ogrzali i chcieli u siebie zostawić. Ja przecież iść chciałem dalej, wstaję, ale podnieść się nie mogę, jakbym nóg nie miał. Patrę, a moje nogi spuchły mi jak banie.

— Odmroził nogi dziadzio, prawda?—ze smutkiem pytały dzieci.

— Tak, odmroziłem. Wtedy zawieźli mię do miasta i oddali do szpitala. Ach! com się tam namęczył! com się nacierpiał! Dość, że jakem wyszedł ze szpitala, to już nogi jednej nie było. Chodziłem o kuli drewnianej. Doktorzy powiedzieli, że i tak dobrze, iż tylko jedną nogę odcięli, że druga się dała wyleczyć...

Ciężko było poruszać się, ale trudno — pracować trzeba było. Wiosna też już nadeszła. Poszedłem więc najpierw do waszych rodziców, podziękować że mię od śmierci ocalili, a potem znowu zacząłem chodzić po domach i obręcze na statkach pobijać.

Do was przychodzę, jak widzicie, co lato, żeby co pomódz rodzicom. Ot, wiadra poprawiam, parę statków zrobię i takem się do was przyzwyczaił, jak do swoich.

— A później dziadziu gdzie pójdziesz?

— Później? Narobię obręczy dla siebie i znowu do miasta powędruję!...

Dzieci jeszcze chciały staruszka o coś pytać, ale matka zawołała wszystkich na kolację. Cała gromadka więc poszła do stołu, mając żywo w pamięci historię dziadka kulawego.



BORSUK.



zaciszy gęstego lasu, pod rozłożystą jodłą kopał borsuk dół. Od kilku dni nie spał, nie jadł, był cały przejęty przygotowaniem dla siebie mieszkania. Robota nie lada!

Trzeba było dół wykopać, i to nie żadną łopatą ale własnymi pazurami, porobić w nim komory, przeznaczając: jedną na spiżarnię, gdzie miał chować zbytek zapasu; drugą na śmietnik, a jedną dużą zachować dla siebie na legowisko; w niej na wierzchu urządzić luft, żeby niem czyste powietrze przechodzić mogło, a na dole przygotować posłanie z mchu i liści.

Nie mało to trudu i pracy kosztowało.

Czegóż się tak spieszył z robotą borsuk?

Spieszył się dla tego, że już późna jesień nadchodziła, a był bez dachu. Drugie to legowisko w tym roku.

Miał niedaleko ztąd bardzo wygodne pomieszkowanie.

Niewiadomo skąd i kto, zaczął mu robić nieporządki w dole.

To mu posłanie rozrzuci, to ze śpiżarki wydobywa resztki zapasów zawsze w czasie jego niebytności. Co się naszukał, co nie namordował pilnując nieprzyjaciela, nagniewał—wszystko na próżno.

Czasem dzień cały nie wychodził z mieszkania i tylko łeb wysuwał, ale wtedy nikt się nie zjawił.

Niech no tylko po żer na chwilkę wyjdzie — jest w domu ruina. Tak się nagniewał, namęczył, aż się zniescierpliwiał nareszcie i zaczął szykować nowe mieszkanie.

— O, gdybym przyłapał tego psotnika—myślał sobie borsuk—tobym mu kości wszystkie pogruchotał.

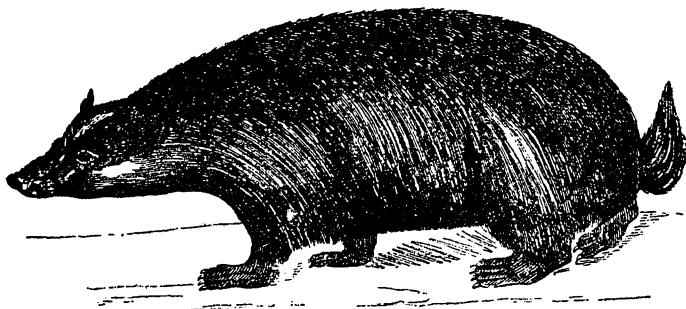
A można mu było wierzyć, bo był z niego nie tylko wielki złośnik, ale i siłacz.

Długo mordował się nad urządzeniem nowego mieszkania, ale nie mógł go tak wykończyć, jak dawniejsze. Trzeba było spieszyć się na gwałt, bo zima była za pasem.

Po skończonej robocie należało się dobrze posilić — najpierw dla tego, że był głodny, a powtó-

re, że przez długi czas z pokarmem się nie spotka—
zapadnie niebawem w głęboki sen zimowy.

Trzeba przyznać borsukowi, że nie był wybredny w jedzeniu, zjadał wszystko, co mu się tylko przytrafiło: owoce, korzenie, ślimaki, ryby, węże, ptaki, myszy, króliki, a nawet robakami i owadami nie pogardził. O taki pokarm nie trudno. Razu jednego, kiedy tak czatował na zdobycz, został znie-nacka napadnięty przez psy. Porwał się czempredziej i zaczął uciekać.



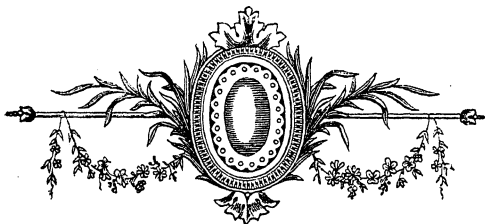
Szcześliwym trafem po drodze napotyka swą dawną norę, a więc wpada do niej. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy w swem dawnem mieszkaniu zabaczył lisa. Wściekłość straszna porwała borsuka, chciał lecieć za tym zbrodniarzem lisem, pomścić na nim wszystkie swoje szkody, ale bał się znowu ludzi i psów, co go przed chwilą goniły.

Późno dopiero nad wieczorem przemknął się borsuk do swego mieszkania, o nieprzyjacielu jed-

nak nie zapomniał i postanowił mu kości pogru-
chotać przy pierwszym spotkaniu.

Na szczęście lisa nastały wczesne mrozy i bor-
suk już ze swej nory nie wyszedł.

Skrecony w kłębek schował głowę pomiędzy
przednie łapy i zasnął snem twardym, a zemstę nad
lisem odłożył do przyszłej wiosny.



PRZEBIEGŁY CHRABĄSZCZ.



nareszcie cię mam — mówił szpak do chrabąszcza, chwytając go w dziób.—Nad takim marnym robakiem tyle się zmęczyć trzeba!

— Mój drogi, mój złoty — wołał chrabąszcz, daruj mi życie, jeszcze choć chwilkę, przecie tyle masz w polu innych owadów, zostaw mnie biednego!

I owad brzęczał tak żałośnie, że się szpak ulitował, wypuścił go z dzioba i tylko nogą przytrzymał jeszcze.

— Po cóż ci to życie, marny robaku?—pytał szpak, z politowaniem patrząc na biednego chrabąszcza.

— Chciałbym jeszcze trochę świat obejrzyć, świeżem powietrzem odetchnąć, słońku się przyrzczyć; zaledwie przecie drugi dzień, jak wyjrzałem na światło dzienne—brzęczał chrabąszcz, przycięsnięty nogą ptaka.

— To mi gada—odręcze ptak. Taki duży, a z jajka dopiero co wyszedł. Jak mi będziesz tak plótl, to zaraz cię schrupię. Zadrzał biedny chrabąszcz ze strachu.

— Bo też to i nasze dzieciństwo do waszego nie jest podobne, oj, nie!... zaczął znowu.

— Ciekawy jestem, co tam innego!—odrękł dumnie szpak.—Ot, pleciez sobie nie wiedzieć co!

— Zechciej posłuchać a nie pożałujesz, skoro nas poznasz — powiada chrabąszcz ciągle jeszcze drżąc ze strachu przed dziobem szpaka.—Wyspowiadam ci się ze wszystkiego, co mię spotkało i com zrobił w życiu swoim. Ale, mój drogi szpasiu, podnieś trochę nogę, bo ja nietylko mówić, ale i oddychać nie mogę. Nie bój się, nie odlece! Patrz, jak skrzydła mam skaleczone!

Szpak z natury był bardzo ciekawy, a chociaż udawał, że go chrabąszcz nic nie obchodził, podniósł jednak zlekka nogę, a owad wolno stąpając, dostał się do listka i zaczął opowiadanie.

— Pamiętam siebie tylko od tego czasu, jakem wyszedł z jajka. Byłem wówczas długim pędrakiem. Leżałem w ziemi. Przykro jakoś było z początku, ciemno i zimno... Głód srogi dokuczał. Poruszyłem

się raz, drugi, utorowałem sobie drogę i dopelzłem do korzeni jakiegoś młodego drzewka. Probuję ugryźć kawałek, smakuje, a więc dalej gryzę. Przechodzę potem do drugiego, trzeciego, tak powoli objadam korzonki drzewek młodych i trawek.

— Ach, ty nicponiu,—powiada szpak oburzony, to ty i w dzieciństwie szkody wyrządzasz! Nie daruję ci życia!...

I zbliżył się znowu do chrabąszcza.

— Czekał-że, czekaj, najciekawszego szczegółu z mojej historyi nie słyszałeś!...

Szpak pohamował się, cofnął, a chrabąszcz mówił:

— Trzy lata spędziłem tak w ziemi.

— Trzy lata! — wykrzyknął ptak, — i nikt się nie znalazł, coby was ukarał za rabunek!

— O, gdzież tam! mieliśmy dosyć nieprzyjaciół, kret szczególnie spokojności nam nie dawał. Ileż to naszych braci wyginęło! A czy to mało jest w ziemi owadów, czychających na naszą skórę! Mnie jakoś udało się szczęśliwie ująć niebezpieczeństwa.

W czwartym roku czuję, że skóra na mnie tężeje; staję się ociężałym, tracę apetyt i jakoś na sen mi się zbiera. Wyłażę trochę wyżej ku powierzchni ziemi. Tu przekształcam się w poczwarkę i zasypiam.

— Przepraszam cię, mój drogi, ale mi się już jeść zachciewa; nie mogę cię dłużej trzymać — powiada szpak nachylając się do chrabąszcza.

— Zaraz, zaraz!—odpowiedział chrabąszcz — zjesz mnie, i owszem, tylko wysłuchaj najciekawszego miejsca z opowiadania o mojem życiu.

— A prędko to nastąpi?—zapytał szpak.

— Niezadługo — odpowiedział owad, wyprostowując swoje nadszarpnięte skrzydło.

— Pół roku—ciągnął — dalej, a może i więcej tak przespałem. Nademną podobno śniegi leżały, mrozy ścisnęły ziemię, wiatry się unosiły, ale ja tego nic nie czułem.

Dnia pewnego budzę się niezwykle silnym i widzę w sobie wielką zmianę. Mam głowę, piersi i odwłok, jak i każdy owad; mam sześć nóg, dwie pary drobnych skrzydeł, na głowie różki ze szczoteczkami dla odgrzebywania ziemi z oczu, słowem jestem owadem doskonałym.

— I poleciałeś czempredziej liście objadać. Zanim ja ciebie, ladaco!—wołał gniewnie ptak i podskoczył nad chrabąszczem.

— Zaraz — odrzekł, cofając się trochę owad— teraz właśnie dochodzimy do najciekawszego miejsca.

I chrabąszcz zaczął znowu opowiadać:

— Niedługo siedziałem w tej ciasnej ciupie, szarpałem się raz, drugi raz, zerwałem oponę i byłem wolny. Nie namyślając się bardzo, zacząłem wdrapywać się do góry, zabrzęczałem skrzydłami i wzniosłem się wysoko, wysoko!

Przy tych słowach, chrabąszcz wzleciał tak

prędko, że szpak ani się obejrzał, jak on już nad nim bujał.

— O, nieszczemny ladaco, udaje nieboraka, a to oszust zawołany!—krzyczał w gniewie ptak, lecąc za nim. Próżne to były wysiłki: chrabąszcz wzbił się już wysoko i tylko zdaleka brzęczał:

— Bywaj zdrow, przyjacielu, doszedłem do najciekawszego miejsca w mojem opowiadaniu, a na przyszłość bądź mądrzejszym!

— Brawo, szpasiu, brawo, śmiały się ptaki, ładnieś został w pole wyprowadzony!

Szpak był rzeczywiście zawstydzony niepomyślnem zakończeniem łowów i ukrył się czempredzej przed kolegami w gęstwinie.



Pożyteczna zabawa.



Mała Ania i jej braciszek Władzio przyjechali do cioci na lato.

O, jakże im było dobrze!

Domek cioci stał tuż przy lesie; w koło rosły śliczne kwiatki polne i trawa. Po trawie wolno było biegać i dokazywać. Kwiatki można było zrywać; nikt się o to nie gniewał, bo nikt ich nie zasadzał. Kwiatki same rosły z roku na rok.

Dzieci cały dzień prawie spędzały na dworze.

Raz siedzą pod lasem, Władzio naprawia wózek, a Ania plecie wianuszek.

Widzą jakąś staruszkę, która chodzi po lesie i zbiera suche gałęzie.

— Na co jej te gałęzie?—pyta Ania braciszka.

— A czy ja wiem—odpowie Władzio—może koszyk robić będzie.

— Z takich krótkich prętów, to chyba koszyków nie można wyplatać. Chodźmy się spytać.

I pobiegły dzieci na wyprzódki.

— Moja babciu—wołała Ania.

— Moja babciu,—wykrzyknął Władzio, — po co wam te suche gałęzie?

Babcia podniosła głowę, ale przy tem głośno jęknęła.

— Och Jezu Chryste—o jój! jęczała staruszka wyprostowując się.

— Czy babcia chora?—pytały dzieci, co babci jest?

— Nie chora, moje dzieci, nie chora, tylko stara jestem. Ot widzicie, jakem się raz zgięła to i wyprostować się nie mogę, takie mam klócie w krzyżu. O, starość moja starość. A pracować trzeba.

— Na co wam te gałęzie potrzebne, babciu? one są takie suche i krótkie.

— A na czem bym obiad ugotowała?—powiada staruszka zdyszana.

— Dla czego kto inny nie pójdzie zbierać a babcia nie wypoczywa sobie w domu?

— Dla czego? dla czego?...—powiada staruszka siadając na pniu—dla tego, że wszyscy w polu pracują, dzieci nawet pasą bydło i gęsi... O jej! jakie kolki...—jęknęła znowu babka. U nas i stary i mały pracować musi.

Odpoczęła trochę i znowu wzięła się do roboty.

Dzieci nie namyślając się długo, zaczęły pomagać biednej staruszce.

— Ot, jaki tu dobry sęk, babciu — powiada Władzio, kładąc gałąź na kupkę.

— Te gałązki, to się dobrze palić będą, bo takie suche — szczebiotała Ania, niosąc pęk suchego drzewa.

— Dosyć, dosyć już tego, nie udźwignę dużej wiązki; dziękuję wam aniołki moje — rzekła odchodząc. Bóg wam zapłać za dobre serduszka.

Władek długo patrzył za staruszką, dopóki nie weszła do chałupki, potem poszedł do Ani, wziął ją za rękę i mówił po cichu.

— Wiesz co Aniu, zróbmy tej babci niespodziankę. Jutro wstaniemy wcześniej, nazbieramy dużo, dużo chrustu i zawieziemy na naszym wózku pod chatkę, tak cicho żeby nie usłyszała, to się dopiero zdziwi!

— Ach pysznie, pysznie! — wołała Ania i zaczęła klaskać rączkami. — Jakiś ty mądry Władziu, że ci taka myśl przyszła do głowy! Ach żeby to prędzej jutro przyszło! Całą noc trzeba czekać nim to jutro nastanie!

Długo potem naradzały się dzieci ze sobą jak i gdzie mają zbierać gałęzie, gdzie ukryją się żeby ich babcia nie widziała.

Na tej rozmowie prędko im czas przedobiedni

upłynął. Później był spacer z rodzicami i tak zeszło do wieczora.

Nazajutrz bardzo wczesnie obudził się Władzio, a za nim i siostrzyczka. Wstali oboje z łóżka, przedko poubierali się i pobiegli do lasu.

Poranek był cudowny.

Dzieci nigdy nie widziały lasu tak wczesnie. Rosa nie zeszła jeszcze zupełnie z listków i od słońca jaśniała mnóstwem barw. Były to kropelki zielone, czerwone i co chwila zmieniały kolor.

Ptaszki jeszcze nie zmęczone śpiewały wesoło na wierzchołkach drzew. Żuki krzyczały. Zapach smoły i kwiatków już zdaleka dochodził do dzieci.

Ania i Władzio wzięli się do roboty, zbierali gałęzie i układali na wózku.

Niezadługo wózek był wypełniony. Wybrano się więc w drogę.

Władzio pociągnął wózek, Ania zaś popychała z tyłu.

Zbliżyli się nareszcie do domu w którym mieszkała staruszka i cichuteńko przy parkanie wyrzucili chrust z wózka. Sami zaś powrócili do lasu.

Trzy razy tak naładowany wózek przywieźli pod ubogą chałupkę.

Przyszła pora śniadania. Dzieci się napracowały. Czerwone i spocone wbiegły do pokoju. Nigdy śniadanie tak im nie smakowało.

Same nie wiedziały dlaczego było im tak we-

soło. Zdawało się że i dzień jaśniejszy i zabawki przyjemniejsze i całe domostwo miłsze niż zwykle.

W ciągu kilku tygodni, dzieci w podobny sposób każdego poranku przed śniadaniem, zbierały i zwoziły chrust pokryjomu dla staruszki.

Widać że babcia korzystała z ich pracy bo do lasu już po gałęzie nie przychodziła. Dla dzieci zaś zbieranie gałęzi stało się najprzyjemniejszym zajęciem.

Dawniej nie zwracały na nic uwagi, a teraz nawet idąc na spacer podnosiły każdą lepszą gałąź.

Razu jednego nad wieczorem przychodzi znajoma staruszka do nich i przynosi dzbanek ślicznych malin.

Mamę, Władzia i Anię, zdaleka zobaczyła i powitała.

— Jak się macie Maciejowo, co słyhać?

— Dzięki Bogu, pani łaskawa, jakoś jeszcze się wlokę. Przyniosłam tu trochę malin dla dzieciak pani, bo takich serduszek, to chyba niema więcej na świecie.

— Dziękuję wam, moja kochana, za pochwałę, ale cóż one robią tak bardzo dobrego?

Ot bawią się jak dzieci, nic więcej.

— Ale, gdzieżby się tam tylko bawiły! — odrzekła babcia i opowiedziała mamie, jak dzieci ulitowały się nad nią i jak jej dopomagały. Dodała również że czyniły to one tak skrycie, iż nigdy podziękować im nie mogła.

W czasie tego opowiadania wbiegły dzieci do pokoju. Zobaczyły staruszkę i cofnęły się zakłopotane.

Ale mama przywołała dzieci do siebie objęła je i ucałowała. Dwie łzy radosnego rozczulenia spadły jej z oczu na główki dziecięce.

Dzieci domyśliły się wszystkiego i zaczęły całować ręce mamy; nigdy w życiu nie były tak szczęśliwe jak w tej chwili.



TCHÓRZ.



Radnem był tchórz stworzeniem.

Futerko miał ciepłe i gładziutkie jak jedwab, tułów smagły, główkę małą.

A jaki był zręczny! Jaki zwinny!

Po drzewach drapał się lepiej od kota, przed niebezpieczeństwem umykał jak strzała, a ukrywał się przed wrogami swemi, jak nikt w lesie. Był przytem tak ostrożny i nieśmiały, że nawet ludzi z usposobieniem bojaźliwym zaczęto nazywać tchórzami:

Opinią w lesie miał tchórz zupełnie dobrą, nikt go na niczem złem nie złapał.

W tym samym lesie gnieździło się mnóstwo

rozmaitych ptaków: były tam gołębie, jarząbki, cietrzewie, dzikie gęsi, kaczki i wiele innych. Pod lasem znowu przebywały małe zwierzątka: zajęczki w kotlinie, króliki w norce pod ziemią; krety, jeże i inne.

Wszystkie one pracowały, wynajdywały pokarm dla siebie i dzieci, ale najwięcej miały kłopotu z obroną swego maleństwa przed nieprzyjaciółmi.

Nie wiedzieć z kąd się zjawiali coraz nowi wrogowie; to ptak, to zwierzę i rzadko która matka wychowała wszystkie dzieci.

Otóż i tym razem ginęły kaczkom kaczęta, kuropatwom pisklęta, a niewiadomo kiedy i kto je porywał.

Pewnego razu gęś wraca do swego gniazda, widzi, że jest rozrzucone. Strwożona zbliża się, ale kwilenia swych piskląt nie słyszy.

Sądziła że spały; porusza je więc dziobem.

O, rozpaczy! wszystkie są nieżywe!

Pisklęta miały porozbijane łebki.

Trudno opisać zmartwienie matki. Latała w koło, gęgała, szukała wroga swych dzieci i nareszcie gdzieś zginęła; powiadają, że umarła z tęsknoty. Innym razem wydarzył się smutny wypadek cietrzewiowi. W gnieździe znalazł swe pisklątko nieżywe; wypito z niego krew.

Cietrzew w całym lesie ogromnego narobił ha-

łasu. Wszystkie ptaki domyśliły się, że go spotkało jakieś nieszczęście i swych gniazd pilniej strzedz poczęły.

Po niejakiem czasie królikom i zajączkom kilkoroz dzieci zginęło. Słowem nieszczęście dotknęło prawie każdego.

Po całym lesie rozeszła się wieść o nowym wrogu, który wypijał krew i wyjadał mózg małym stworzeniom.

Zaczęto szukać.

Niebawem wytropiono nieprzyjaciela.

Było to małe zwierzątko, o bardzo ostrych pazurach, które zręcznie wdrapywało się na drzewa i odnajdywało gniazda; czasem nawet włąziło w dziuple przez małe otwory i wypijało jaja ptaszkom.

Któs znowu dopatrzył, że skrada się ono tylko w nocy, a skrada się tak cichutko, że nikogo w gnieździe nie zbudzi.

Dowiedziano się, że tym krwi chciwym drapieżnikiem był lękliwy tchórz.

Jak porozumiały się ze sobą ptaki, skąd posływały o tem zwierzęta, nie wiadomo...

Dość, że po całej okolicy natychmiast gruchnęła wieść o tchórze, a każdy strzegł go się w miarę możności.

Co więcej, dowiedziano się że jego bliski krewny, także tchórz, jest podobnym okrutnikiem, wy-

rządza ogromne szkody w kurnikach i piwnicach, a kryje się zarówno nad śpichlerzem, jak nad stajnią.

Czy dowiedziały się o tym wrogu drób i króliki, trudno wiedzieć, ale gospodyni już go raz spostrzegła i pewno nie obejdzie się bez pułapki.



DĄB I KRUK.



a murawie w środku lasu stał gruby dąb.

Nieraz dziwiono się w lesie, że się tak osamotnił, że w około siebie, nawet w bliskości, żadnych krewnych nie miał, że stoi tak ponury, że nie chce nawet porozma-

wiać i rozerwać się, jak to czyniły inne drzewa, pochylając swoje wierzchołki jedno do drugich.

Ale dąb się z tego nikomu nie tłumaczył. Był posepny, to prawda, ale cieszyć się już zapomniał. Dużo nieszczęść już widział w życiu swoim, wiele przeboleł, i teraz niczego się nie spodziewał.

Z pozoru był bardzo stary, bo korzenie miał wykoszlawione, gałęzie rozłożyste i dużą dziupłę w środku pnia.

Od czasu do czasu przylatywał do niego również stary kruk.

Kruk był wielkim przyjacielem dębu: na nim się urodził, w gniazdku, na wierzchołku drzewa, przy nim się wychował, a że był usposobienia spokojnego; nikomu bardzo nie szkodził, więc go dąb też lubił.

Zwykle przylatywał kruk do lasu na noc, siadywał na gałęziach dębu i wtedy całą noc gwarzyli. O czem — nikt nie wiedział.

Może wspominali stare dzieje, może się uskarżali na los swój...

Nad ranem widziano często rześiste łzy na liściach dębu.

Stary dąb bardzo był uprzejmy i gościnnie, przyjmował każdego, czy to na chwilowe, czy też na stałe mieszkanie, chojnie obdarzał, czem mógł.

Nigdy też tam nie zbywało na gościach.

Pod korzeniami mieszkał borsuk z całą rodziną; w dziupli wiewiórka miała swoje mieszkanie i spiżarenkę. W lecie, na noc tylko przybiegała do dziupli, ale w zimie całymi tygodniami tam wysiadywała.

Lubił dąb bardzo to stworzenie; lubił za to, że było takie pracowite, zwinne, czyste, a takie czasem figlarne, że się staruszek nieraz przy niej rozerwał.

Chętnie ją żywił na jesieni żołądkami, ale ta smakoszka wolała orzeszki i jakby z łaski zjadała czasami parę żołądki.

Do stałych gości należał również jelonek.

Był to wspaniały owad z dużymi rogami. Ten nie nadużywał uprzejmości dębu, chociaż sam wypijał soki drzewa, ale dzieci jego oczyszczały je od próchna,

Nie zawsze jednak dąb miał przyjemnych mieszkańców, zdarzali się i tacy, co mu nielitościwie szkodzili. Były to małe stworzenia, czasami tak małe, że gołem okiem dojrzeć nie było ich można.

Z każdym rokiem owadów tych drobnych rozmnażało się coraz więcej i więcej, objadały stary dąb i byłyby go może całkiem zniszczyły, gdyby nie dzieciół. Ten wykuwał swoim mocnym dziobem dziurę w spróchniałem miejscu, wsuwał język, zabierał nim i połykał drobne stworzenia. A trzeba przyznać, że apetyt miał nielada.

Sikora też była pożądanym gościem, bo nie tylko robaki tępiła, ale i jajka ich wybierała z pod kory.

Dąb bardzo im był za to wdzięczny, uprzejmie je zawsze witał, chronił je nieraz w swojej dziupli od deszczu i zimna, a często dawał im miejsce na gniazdo.

Wieść o uprzejmości dębu rozniosła się po całym lesie. Ze wszystkich okolic ciągnęły rozmaite owady, ażeby się pożywić smacznym dębem: jedne z nich wpełzały pod korę, inne pozostawały na gałęziach, a były i takie, co osiadały na samych liściach i nielitościwie je szpeciły.

Za owadami pojawiły się ptaszki, za ptaszkami drapieżne ptaki. Było gwarno i ludno.

Dowiedział się nareszcie o dębie i człowiek.

— Czemużbym i ja nie mógł skorzystać z dębu — pomyślał sobie.

Przyszedł do starca, poobdzierał korę, pozbiierał gałęzie i ucieszony wraca do domu. Po drodze korę sprzedał garbarzowi na wyprawianie skór, a żołądziami nakarmił trzodę. Od tego czasu co rok chodził do starego dębu i za każdym razem brał od niego korę i żołądzie.

Widział to wszystko stary przyjaciel dębu — kruk.

Ze smutkiem spoglądał, jak ci goście nadużywają dobroci starego drzewa.

A dąb na to poruszał wszystkimi swemi listkami i jakby odpowiadał:

— Niech korzystają, nie wiele mi tego życia pozostało.

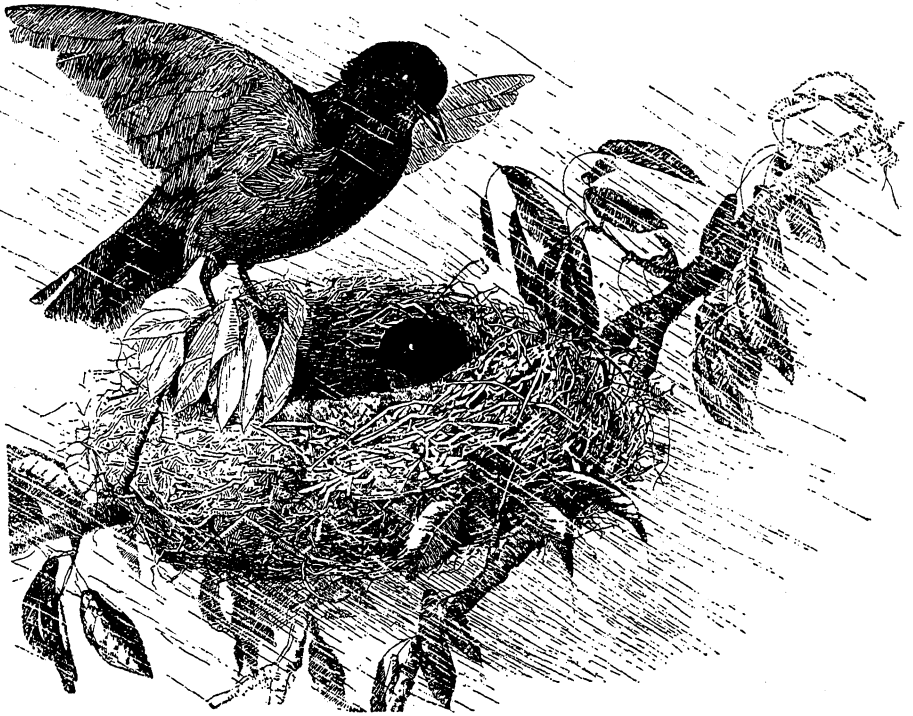
Zdawało się, że sama natura uszanowała poświęcenie dębu.

Razu jednego powstała straszna burza. Wicher połamał mnóstwo gałęzi, pni, niektóre drzewa zupełnie powywracał. Straszny był widok! Dąb tylko został nietknięty.

Pewnego poranku, biedny wieśniak z nożem i koszem przyszedł do starego dębu i zdziwił się ogromnie, że na dębie nie było świeżej kory; liście

na gałęziach zeszłoroczne jeszcze zczerniały, młodych gałązek widać nie było.]

Wieśniak naciał kawałek pnia, ale sok z niego już nie wytryskał.



Wokoło wszystko posmutniało. Zupełna panowała cisza. Drzewa ani się ruszały. Ptaszek żaden nie śpiewał, owad nie brzęczał, Nawet kwiatki powieszały główki swoje. Dąb już nie żył.

Na wierzchołku jego siedział ten sam kruk ze spuszczoną głową, w żalobnej szacie.

Szkoda było wieśniakowi dębu; nie namyślając się długo, wrócił do domu.

— Walenty—powiada do swego brata, stanawszy w progu chaty—zabieraj-no piłę i chodźmy do lasu.

Prędko zabrali potrzebne narzędzia i poszli.

Nie mało użyli mozołu, piłując drzewo, bo też o ile z pnia sądzić było można, miało chyba ono lat pięćset.

Nad wieczorem dopiero wrócili wieśniacy do domu, wioząc ze sobą duży pień starego dębu.

Rzeczywiście przydał im się i po śmierci: zrobili z niego beczkę, koło, stół, szafę i mnóstwo sprzętów domowych — a z reszty krótkich desek, ławki przy bramie. A kiedy raz w niedzielę usiedli na nowej ławce, pod bramą, spostrzegli pod nią coś czarnego.

Zbliżyli się.

Był to kruk nieżywy.

Widać że nie mógł przenieść rozłąki ze swym przyjacielem, i odnalazłszy jego szczątki, zakończył przy nich życie.





DZIKA KACZKA.

bardzo zarośniętej kępie, tuż nad dużym stawem, uwijała się kaczka. Nosiła w dziobie mech, grube trawy, nosiła liście i skrzętnie z nich wiała duże gniazdo. Choć była to jeszcze wczesna wiosna, jednak spieszyła się kaczka bardzo ze swoją robotą. Gniazdo też zbudowała ona niemałe, jak dobra miska. Gdy budowa jego była skończoną, kaczka zaczęła z siebie puch wyskubywać wyściełając nim gniazdo na spodzie i po bokach.

— Kwa-kwa!—zawołała radośnie, zadowolona, że dobrze poszła robota i poleciała pływać po stawie.

Krótko jednak pływała: pilno jej było wrócić do gniazdka i jajka znieść.

Dzień po dniu przybywało więcej jajek, aż nareszcie było ich tak dużo, że się ledwie w gniazdku pomieścić mogły.

Jednakże kaczka tem się nie kłopotuje, siada spokojnie na jajka, przykrywa je wszystkie i ogrzewa swym ciepłym puchem.

Siedzi kaczka dzień, siedzi drugi, a tak ci-chutko, że się ani ruszy. Parę razy odleci na staw trochę się pożywić, ale nie jest wybredną wówczas: bierze co się nadarzy: czy to robaka, czy liszkę, czy żabkę, wszystko jej jedno, byleby prędzej wrócić do gniazda. Na stawie spotykała się z innymi kaczkami, które również w tych okolicach gniazda usłały. Wiadomo, że kaczki są towarzyskie, więc się nieraz zagadały ze sobą. O czem mówiły — trudno wiedzieć. Może o swych jajkach? może o nieprzyjaciółach swoich? może jakieś wypadki opowiadały? Same one zapewne dobrze siebie rozumiały, chociaż tylko ochrypłym głosem kwakały, i gdyby nie jajka w gnieździe, to możeby do północy przegadały.

Minęło trzy tygodnie; kaczka nasza w gnieździe wychudła, zmizerniała biedactwo, piórka jej się nawet najeżyły, aż tu jednego ranka słyszy, że się pod nią coś rusza; wstaje i widzi, że małe kaczątko wydo-
staje się z jajka.

— Przecież—pomyślała sobie kaczka—docze-
kałam się choć jednej pociechy—i zaczyna je oglą-
dać: czy małe ma dziób dosyć płaski, ażeby ro-
baczki mogło utrzymać; czy daleko w tył łapki są

odsunięte, ażeby pływać, czyli wiosłować mogło; czy dosyć płaskie ciało do pływania; czy się nie zaziębi w wodzie. Ale o to już najmniej się troszczy, bo całe kaczątko było żółtym puchem porośnięte. Ucieszyła się bardzo kaczka, że dzieciątko jej tak samo, jak i ona, nad wodami żyć będzie, że dobrze mu na świecie się powiedzie. Podczas gdy się tak rozglądała i przypatrywała, z drugiego jajka pokazało się kaczątko, później z trzeciego i wkrótce w gniazdku siedziało dwanaście żółtych piskląt. Trudno sobie wyobrazić radość matki! Zdawało się jej, że piękniejszych ptasząt nad te, chyba nie ma na świecie.

— Kwa-kwa-kwa! — głośno zawołała. — Kwa-kwa! niech wszyscy wiedzą, jaka mnie radość spotkała!

Ale wkrótce niepokój zapanował w gniazdku. Kaczątko zaczęły pisać, wołać o jedzenie. Kaczka w kłopotcie, co tu robić! Trzeba je do stawu sprowadzić, ale jakim sposobem? Schodzić z drzewa nie potrafią, latać nie umieją... Myśli kaczka, myśli, a tu dzieci spokoju nie dają: tak się drzeć zaczęły, że matce aż w uszach zadzwoniło.

Nie namyślając się dłużej, bierze dziobem swoim za szyję najstarsze pisklątko, wychodzi parę kroków z gniazdka i buch! kaczątko do wody. Okropnie się przestraszyło maleństwo, myślało, że matka za karę wrzuciła je do wody, że zaraz zginie... ale nic mu się nie stało, parę koziołków tylko przewróciło w wodzie. Matka tymczasem pospieszyła do innych

i z każdym robi to samo, a kiedy ostatnie rzuciła do stawu, sama zleciała na wodę i popłynęła. Pisklęta, patrząc na matkę, zaczęły łapkami przebierać i również dobrze po stawie się posuwały.



Pływa kaczka i swemu szczęściu nie wierzy, że taką liczną ma rodzinę, że się pierwsza dochowała kacząt, bo jej towarzyszek jeszcze nie było.

— Żeby tylko uchronić je mogła szczęśliwie. Kwa-kwa!—woła kaczka na dziecko, które bardzo się

oddaliło. Zebrała je w gromadkę i zaczęła opowiadać i nauczać, gdzie mają pożywienia szukać, jak mają do wody się zanurzać, jak chodzić i wiele innych rzeczy.

Nad wieczorem na stawie pojawiła się i druga rodzina kacząt.

Gwarno i wesoło było teraz na kępie: kaczki opowiadały sobie, kaczęta sobie, ścigały się, zanurzały, a że nie były drapieżne, więc zgodnie ze sobą bardzo przebywały.

Dowiedziały się naprzykład, że pod skrzydełkami mają gruczołki z tłuszczem, że trzeba je dziobem od czasu do czasu nacisnąć; wtedy tłuszcz się z nich wysączy, i tym tłuszczem trzeba piórka posmarować. A smarować piórka od czasu do czasu trzeba koniecznie, gdyż woda wtedy do nich nie przylgnie i piórka zawsze suche będą. Co prawda, nie tak to łatwo było zrozumieć wszystkim kaczątkom; to też mądrzejsze tylko rozumiały, a inne je naśladowały.

Dowiedziały się również, że na jesieni polecą bardzo, bardzo daleko.

Nauczyły się też rozpoznawać nieprzyjaciół swoich, ale zawsze wołały bliżej przy matce zostawać.

I szczęśliwym bardzo był zakątek obrany przez kaczki! Czy to dla tego, że był bardzo zacieniony, czy też może, iż bagna były obszerne, dobrze w nich ukryła się kaczek gromadka. Ani lis, ani kuna nie włązili do nich; nawet tchórz, który najczęściej

łby kaczątom ukręca i ten nie ważył się do kępy zbliżyć.

Razu jednego, kiedy tak swobodnie sobie ptactwo wygrzewało się na słońcu, słyszy jakies przeraźliwe szczekanie. Po jakimś czasie huknęły wystrzały — jeden, drugi, trzeci, a po nich psy głośniejsze jeszcze ujadać zaczęły.

Nasza kaczką strwożona, wcisnęła się pod krzak, kaczkęta przyłgnęły do niej, drząc ze strachu; chciały piszczeć, ale bały się, że je kto usłyszy.

A tu strzelanina odbywa się coraz gwałtowniejsza.

— Oj, przyjdzie i na nas kolej—myśli kaczką—oj, trzeba będzie z tym światem się pożegnać!... Gdybym choć dziatki moje wyhodować mogła! a tu sieroty zostaną biedactwa!

Tak myśli kaczką, a strach ją coraz więcej przejmuję.

Jednak zaczęło się trochę w lesie uspokajać, zdaleka jeszcze tylko głosy psów dolatywały.

Kaczką podniosła głowę, patrzy — już niema nikogo, wysuwa się więcej—wszędzie cicho.

— Kwa-kwa! — woła na dzieci i poprowadziła je wszystkie do stawu. Wesołe kwakanie rozlegało się znowu w alei.

— Ale cóż to — myśli sobie kaczką — żadnej z towarzyszek moich niema! Czy nie wiedzą, że nasz niszczyciel, myśliwy, już poszedł?

I zaczęła się w koło rozglądać.

W zarośli zobaczyła stulone kaczęta; stoją na miejscu i żałośnie piszcza—piszcza, jakby się użalały jedno przed drugim. Domyśliła się kaczka natychmiast, co tu zaszło: myśliwy im matkę zabił.

Zbliża się do sierotek. O zgrozo! dwoje piskląt zagryzionych przez psy na ziemi leży, a matki wcale niema.

Spłakała się razem z niemi kaczka, zawołała sierotki do siebie i zaprowadziła je do stawu, przyłączyła do swojej gromadki i od tej pory zaopiekowała się niemi, jak własnymi dziećmi.

Kacząta wkrótce przyzwyczyły się do swej przybranej matki, pokochały ją bardzo i pod jej opieką więcej biedy nie zaznały. W końcu lata kaczątko podrosły, opierzyły się, same sobie już radę dawały, a ku jesieni były już tak silne, że mogły razem z innymi odlecieć do ciepłych krajów.



G A R B U S.



Państwo Zalescy byli ludźmi zamożnymi. Mieli syna, siedmioletniego Stefana, i małego wychowanka Adasia.

Adas od kilku lat był sierotą, pamiętał jednak matkę swoją; pamiętał, jak go niegdyś w łóżeczku otulała, jak siedział na jej kolanach i pieścił się z nią; pamiętał również, jak potem leżała blada i nieruchoma i jak ją później ludzie z domu wynieśli na zawsze. Ale to było bardzo dawno.

U państwa Zaleskich Adas mieszkał już od kilku lat. Byli to dobrzy ludzie, więc przygarnęli sierotę i wkrótce tak go pokochali, że wychowywali, jakby własne dziecko.

I Adasiowi było dobrze: nie zaznał od nich żadnej przykrości. Miał lat dziesięć, ale wyglądał tak mizernie, tak był szczupły, iż zdawał się być znacznie młodszym od Stefana. Miał przytem garb z przodu i z tyłu, co czyniło go bardzo niezgrabnym.

— O, garbus! o, garbus u nas się zjawił!—wołały dzieci, gdy pierwszy raz zobaczyły Adasia w szkole.

Chłopczykowi przykro się zrobiło, nie jednak na tak grubijańskie przyjęcie nie odpowiedział, tylko oczy spuścił i usiadł na wyznaczonej mu ławce.

Stefanek też pierwszy raz wszedł do szkoły, ale z nim to zupełnie inaczej było. Prędko zapoznał się ze wszystkimi kolegami: dowiedział się, ilu jest uczniów w klasie, jakie figle płatają, jak się kto uczy, jakim nauczyciel jest, za co się gniewa i wiele innych ciekawych rzeczy.

— Jak się nazywasz, przybyszu?—zapytał Stefana jakiś malec.

— Stefan Zaleski.

— A gdzie mieszkasz?

— Przy Wspólnej Nr. 20.

— Pysznie, to razem chodzić do domu będziemy.

— Dobrze—odpowiedział Stefanek—ale jeszcze zabierzemy Adasia Wareńskiego ze sobą, bo on też ze mną mieszka.

— Jakto? tego garbusa? Ależ wstydzilibym się na ulicę z nim pokazać! Taki garbus!—wołał niedobry kolega Adasia.—Pójdź-no tu, garbusku, postawimy cię na stole i obejrzymy to, czego z pod ławki dojrzeć nie można. No, cóż siedzisz? czy głuchy jesteś? To mi gagatek!

Powiedziawszy te słowa, zbliżył się do Adasia i zaczął go szturchać.

Stefanek ujął się za przyjaciela i przystępując do niego, rzekł:

— Nie zważaj na nich, Adasiu, to tylko pierwszego dnia tak ci dokuczają, jutro już tego nie będzie.

Ale Adaś nic nie mówił, cały był czerwony, oczy miał pełne łez, usta mu drżały.

Wtem wszedł nauczyciel, i wszystko się uspokoiło. Adaś, jakby odżył. Wpatrzony w nauczyciela; zdawało się, że każde jego słowo pochłania. Mniemał, że całe życie nie zapomni tego, co teraz usłyszy; godzina przeszła mu, jak jedna chwila.

Nastąpiła pauza, poczęły się znowu drwinki, ale i tym razem Stefanek został przy Adasiu.

— Nie martw się, Adaśku, jeżeli oni będą ci tak dokuczali, to ja się z nimi bawić nie będę. Do domu razem pójdziemy, nie chcę mieć do czynienia z tym łobuzem Kromskim.

— Wiem, że jesteś moim prawdziwym i jedynym przyjacielem! — odpowiedział Adaś przez łzy.

Od tej cwili chłopcy jeszcze bardziej się poko-

chali. Adaś w milczeniu znosił drwinki kolegów, z nikim oprócz Stefanka nie rozmawiał, nie wstawał prawie przez cały dzień ze swego miejsca, siedział ciągle nad książką.

Wkrótce uczniowie przyzwyczaili się do Adasia, a chociaż nie przestali go nazywać garbusem, jednak nie wysmiewali się z niego tak często.

— Garbusiu, pożycz mi stalki!—mówi jeden.

— Mój, garbusiu, przepis mi wiersze, które mamy się na jutro nauczyć!—prosi drugi.

I Adaś, nie okazując najmniejszej niechęci, wykonywał wszystkie żądania kolegów.

— Mam dziś dyżur w klasie—woła jeden chłopiec,—cóż to za nudna rzecz!—Godzinę całą prawie siedzieć muszę po lekcjach, przy młodszych uczniach, a tu ślizgawka czeka na mnie. O! gdybyż mnie kto zastąpił?

— Ja z chęcią się tego podejmę—odzywa się skromnie Adaś.

— Dziękuję ci, koleżko drogi! O, bardzo chętnie złożę na ciebie ten niemiły obowiązek.

Adasiowi aż się oczki zaświeciły. Nazwano go kolegą po raz pierwszy w życiu! Byłby on gotów codziennie zostawać w klasie, gdyby go zawsze tak nazywano.

Czas leciał szybko. Rok szkolny zbliżał się ku końcowi. Uczniowie z obawą oczekiwali egzaminu i popisu.

Nadszedł nareszcie ten dzień upragniony.

Zgromadzili się wszyscy w dużej sali i z trwogą oczekiwali chwili, w której mieli usłyszeć o swoich promocjach do klas wyższych.

Nauczyciel głośno wymawiał nazwisko każdego z uczniów i oddawał mu cenzurę.

Rozmaicie się działo: jedni dostali promocją do klasy wyższej, drudzy mieli poprawkę, a byli i tacy, którzy pozostali na drugi rok w tej samej klasie. Na twarzy takich uczniów widać było wielkie niezadowolenie. Stefanek należał do tych, którzy dostali promocją.

Przyszła kolej i na Adasia.

Nauczyciel wziął cenzurę, spojrzął na niego i tak przemówił:

— Adam Wareński, jedyny z uczniów, który ma stopień celujący ze wszystkich przedmiotów, z uwagi, pilności i sprawowania. Otrzymuje nagrodę!...

Przy tych słowach podawał Adasiowi dużą ozdobną książkę.

Chłopakowi w głowie się zakręciło, w oczach pociemniało; nie wiedział sam, co się z nim dzieje, z radości nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Adamie Wareński!—zawołał jeszcze raz nauczyciel, głośniejszym razem.

Adas przemógł wzruszenie, podszedł, uklonił się, wziął nagrodę i śmiało podniósłszy głowę, spojrział wesoło na kolegów.

— Ja, garbus—myśli sobie Adaś—z którego wszyscy się śmieją, i ja otrzymałem nagrodę?...

Ścisnął książkę mocno w rękę i byłby ją wycalował całą, gdyby się nie wstydził kolegów. A była to duża i ładnie oprawna książka; na okładce złotymi literami wypisany błyszczał tytuł: „Zwyczajy i obyczaje zwierząt“ Brehma.

Wkrótce koledzy się pożegnali i porozchodzili do domów.

— Stefanku—powiada Adaś—niech ta książka będzie i twoją zarazem, będziemy ją wspólnie czytawali, niech w twojej szufladzie leży. Patrz, jaka ona śliczna! I po raz dziesiąty może rozwijał Adaś książkę i oglądał ją na wszystkie strony.

W domu chłopcy znaleźli już rzeczy spakowane do wyjazdu na letnie mieszkanie. Rodzice czekali tylko z obiadem na dzieci i bardzo byli radzi, że się im tak dobrze powiodło w szkole. Pakowanie rzeczy, podróż koleją, wszystko to bardzo bawiło dzieci, a jeszcze bardziej się ucieszyły, gdy dojechali do ślicznej willi, w której mieli spędzić lato.

W kilka godzin po przyjeździe, Adaś i Stefanek już poznali całą okolicę swego domu i dowiedzieli się, że w parku jest duży plac, przeznaczony do zabawy, gdzie można swobodnie biegać i gimnastykować się. Nie namyślając się długo, podążyli chłopcy w stronę, z której dolatywały ich uszu śmiech i krzyki dzieci.

— Jakże tu ładnie — powiada Adaś, do Stefanka— ile tu małych dzieci, jakie kręgle, krokiety!...

— Patrz i tu każdy może się też bawić — odrzekł Stefek. — Chodźmy na kręgle! Tam już stoi kilku chłopców, zaraz partya będzie.

Zaledwie chłopcy parę kroków postąpili, gdy ze wszystkich stron dał się słyszeć śmiech dzieci.

— A, jaki śmieszny garbus! — wołały jedne.

— Co za potwór! — krzyczały drugie.

— Mamo, mammo, kto jest ten brzydki chłopczyk?

Cała gromadka dzieci otoczyła Adasia i wśród drwin i śmiechu zaczęły mu się ciekawie przyglądać. Stefanek był tak przejęty kręglami, że nic z tego nie słyszał. Złapał pierwszą lepszą kulę, zaprosił do gry innych chłopców i obejrzał się za Adasiem. Ale tego już nie było. Adaś nie chciał być pośmiewiskiem. Każde słowo przeszywało go jak nożem. Niepostrzeżenie przemknął się pomiędzy drzewami i czempędzej uciekł z parku. Biegł sam, nie wiedząc gdzie biegnie, a choć po drodze nikogo nie spotkał, zdawało mu się jednak, że wciąż słyszy za sobą przezwiska— słyszy, że drzewa, pola i kwiaty, wszystko woła na niego: „garbus, garbus!”

Długo tak biegł, aż nareszcie stanął w lesie. Tu padł pod brzozą, przytulił się do ziemi, zakrył oczy rękami i gorzko płakać począł. Płakał nad niedolą swoją, nad kalectwem. Przyszła mu na

myśl matka, która zawsze go pocieszała i pieściła—
gdy go co bolało, a teraz on sierota do kogo się
uda?

— Matko droga—wołał—czy ty widzisz, jakim
nieszczęśliwy? Czemu jestem taki brzydki, czemu
taki inny, niż wszyscy? Dlaczego dzieci są dla mnie
tak niedobre, przecież nic im złego nie robię! Ma-
mo, tybyś im zabroniła śmiać się ze mnie, tybyś
mnie pożałowała, gdybyś wiedziała, jak źle jest sa-
memu na świecie! Matko, zabierz mnie do siebie,
niech przestanę cierpieć!...

Tulił się biedak coraz więcej do ziemi i coraz
więcej płakał.

A las, jakby przysłuchiwał się niedoli chłopca,
przycichł zupełnie i tylko liście od czasu do czasu
coś szemrały, jakby się naradzały nad jego losem.

Powoli jednak zaczął się biedak uspakajać, pod-
parł ręką głowę i zamyślił się. Co się snuło w je-
go główce, niewiadomo, widocznie miał jakieś głę-
bokie myśli, bo na nic nie uważał, tylko cicho od
czasu do czasu przemawiał:

— Niech się tam śmieją z kogo innego, ja się
im nie pokażę więcej... co mi po nich... Będę
sobie czytał, będę się uczył... A jak urosnę, nie bę-
dę gorzej od nich pracował!...

Poczem wstał już zupełnie spokojny i pogodny.
Wyjął z kieszeni scyzoryk i na korze brzozy, przy
której siedział, wyciął następujący napis: „Dnia 4-go
lipca roku 1860”. Obejrzał się po lesie i z pogod-

na już twarzą zaczął szukać drogi wiodącej ku domowi.

Odtąd było to ulubione miejsce Adasia. Co dzień rano przychodził z książką, siadywał przy brzozie i całymi godzinami czytywał, czasami rysował. Dobrze mu tam czas schodził i nikt się z niego nie śmiał, nikt go nie zaczepiał.

Pod lasem, niedaleko Adasia, chłopcy wiejscy paśli bydło. Z początku bali się zbliżyć do panicza, ale pomału ciekawość przemogła i poczęli wypytywać, co jest w tych książkach, którym się panicz tak przygląda.

Adaś pokazał im obrazki zwierząt, a że czytał już o nich, więc mógł dużo ciekawych rzeczy opowiedzieć.

Chłopakom bardzo to się podobało, zaczęli codzień do niego na pogadankę i oglądanie obrazków przychodzić.

Adaś tymczasem przynosił im coraz to nowe książki, opowiadał coraz to nowe rzeczy i był bardzo z tego dumny i szczęśliwy.

Pastuszkowie nie śmieli się z niego wcale, z daleka go już witali, przynosili mu jagody i kwiaty.

Gromadka dzieci z każdym dniem się zwiększała.

Wszystkie one znały ulubione miejsce Adasia. i całą gromadą oczekiwały zwykle na niego przy brzozie. Adaś zdaleka je dostrzega, wita się z nimi, wyjmuje książkę i zaczyna opowiadać. W przer-

wach dzieci wiejskie mówiły o sobie, o tem jak u nich jest na wsi, jak im często bywa głodno i chłodno. Czasem opowiadały, jak to one się bawia, kto z nich jest zręczny, kto kogo pokona i wiele innych rzeczy.

Tak przeszło Adasiowi lato. Ze swoich spacerów nie robił sekretu. Wieczorem opowiadał Stefanowi o swoich towarzyszach, a Stefanek nawzajem zdawał mu sprawę ze swych przygód.

Nie obejrzały się dzieci, jak lato minęło. Trzeba było wracać do miasta.

Stefek z Adasiem wkrótce wzięli się do roboty. Szło im równie dobrze, jak w roku poprzednim, a szczególnie Adasiowi, który nigdy do żadnej zabawy nie należał, a przestawał z samemi książkami.

Tak upływał rok po roku. Chłopcy powyrastali, pokończyli szkoły, później wyższe zakłady i każdy z nich pracował na siebie.

II.

Od niejakiego czasu, w pewnej okolicy szerzyła się wieść o sławnym doktorze. Zdaleka przychodzili i przyjeżdżali do niego ludzie na poradę.

— To jest nasz dobrodziej, to nasz ojciec i opiekun—mówili wieśniacy do siebie. Ilużby tu nas poumieralo, gdyby nie on: lekarstwo przyniesie, sam się zajmuje nami. Niech mu Bóg za to zapłaci. Z miasta któregoś dnia przyjechali po sławne-

go doktora powozem, widać od jakichś bogatych państwa. A on powiada: „Nie mogę jechać, gdyż mam tu we wsi wielu biedaków ciężko chorych, których nie mogę bez pomocy zostawić. Wy tam i bezemnie macie w mieście dosyć lekarzy. Tak wprost odmówił!” Mają oni zapewne, ale takiego mądrego i dobrego, na całym świecie chyba niema.

— Albo onegdaj—wtrąciła baba—poszedł do Jakóba, a ten ledwo wstał z łóżka i miał wyjść. Doktor powiada do niego: „Nie możecie wychodzić, Jakóbie, bo zimno jest, musicie dobrze się ubrać; czy macie co na nogi ciepłego?”

— A cóż by ja tam miał?—odpowie Jakób—bez zarobku człek siedział, co tam mieć może!”

Nasz doktor, nie myśląc długo, zdejmuje kalosze swoje i daje mu:

— Weźcie sobie, powiada, ja się obejdę bez nich!

— Tak moi drodzy, własne obuwie mu oddał, taka to dusza święta w naszym doktorze!

Podobne rozmowy często się powtarzały.

Tego wyleczył, temu dopomógł, tego przyozdzał, tamtemu poradził; słowem, każdy we wsi błogosławił doktora.

Doktor sam mieszkał w bardzo skromnym domu, na górze w lesie. Tuż był ładny ogródek, ze starą rozłożystą w pośrodku brzozą. Na jej pniu

uwypatniał się napis: 4-go lipca roku 1860. Na bramie była duża tablica z napisam:

„Doktór Adam Wareński”.

Był to znany nam dobrze Aśaś garbus. Nie bardzo się zmienił od czasów szkolnych: był trochę wyższy wzrostem od 13-letniego chłopca. Ten sam garb pozostał mu z przodu i z tyłu.


Mieszkanie jego składało się z dwóch pokojów, których ściany zastawione były półkami. Całą ozdobą mieszkania był duży portret matki. Aśaś dzień cały przepędzał przy chorych: leczył ich, pocieszał, czasem pielęgnował, a w czasie wolnym siadywał nad książkami i czytał.

Od czasu do czasu widywał się ze Stefanem Zaleskim właścicielem pobliskiej wioski, który po dawnemu był jego najlepszym druhem.



FIJOŁEK.

I.

 Straszna wichura panowała w lesie. Była jesień. Wiatr zrywał wszystko co po drodze napotkał: liście, mech, patyki, gałęzie — kręcił tem wszystkim, obracał na wszystkie strony i het, gdzieś daleko zanosił!

Pod krzaczkiem siedział fijołek, kwiatka już na nim nie było, ale listki dobrze się trzymały, wiatr wciąż zachodził do niego.

— Może się ukryję przed tym złoŹnikiem — wiatrem! — myślał^ę sobie.

W tem nie wiedzieć zkąd, ten sam wiatr zaczął kręcić, i obracać krzakiem, pod którym fijołek siedział, dostał się do kwiatka i w jednej chwili urwał mu dwa listki.

Zadrżała roślina ze strachu i zimna, i czekała

tylko chwili, w której wiatr znowu tu wpadnie i wyrwie ją z korzeniem.

Na szczęście jednak jakieś duże dwa liście spadły wprost na nią i przykryły, jakby dachem. Fijołek był teraz zupełnie bezpieczny. Tylko mu zimno trochę dokuczało. Poruszył korzonkami i przekonał się, że są zdrowe; soki jednak w nich wolniej krążą.

— Żeby to prędzej—pomyślał sobie—przeszła ta szkaradna jesień i zima! Na wiosnę jest zupełnie inaczej, inaczej...

Ale tu soki w fijołku coraz wolniej krążyć poczęły, i kwiat zasnął.

Co się tam w lesie działo, o niczem nie wiedział, jakie zimna, mrozy, wydarzenia były nad nim — wszystko mu było jedno. Fijołek spał pod listkami i śniegiem, a było mu dobrze, jak w łóżeczku.

Naraz poczuł kwiatek, że jakieś przyjemne ciepło w koło niego wionęło, że soki weszły do jego korzonków. Wstrząsnął się, podniósł główkę i obejrzał się w około. Słońko jasno przygrzewało, w koło zieleniała trawa i tylko gdzieś tam jeszcze trochę znać było śniegu.

Wstrząsnął się fijołek, kropelka rosy spadła z niego i bacznie zaczął przyglądać się słońku.

O, bo słońku był bardzo wiele winien! Przecież to ono go ogrzało, ono go obudziło, ono mu dopomóż listki wypuścić, ono mu kwiatek rozwinie, ono

mu nigdy swych promieni nie żałuje, jakże więc za to słońka nie lubić?

II.

Jadzia i Stefcia, dwie małe dziewczynki, chodziły do miejskiej szkółki i, choć siedziały przy sobie, były jednak bardzo do siebie niepodobne.

Jadzia zawsze była porządnie ubrana, miała książki i kajety dobrze oprawne i ładny tornister do książek.—Stefcia zaś chodziła w starej sukience, której rękawy były łatanne, książek prawie nie posiadała, a kajet tylko jeden i to z bardzo taniego szarego papieru zrobiony. Była ona bardzo ubogą dziewczynką, córką szewca, któremu trudno było zarabiać na całą rodzinę.

Stefcia uprosiła rodziców, żeby ją oddali do szkoły.

Wróciwszy jednak z lekcji, musiała krzątać się przy domu: sprzątać, dzieci pilnować.

Jadzia była trochę zamożniejszą. Rodzice jej mieli sklepik w miasteczku i bardzo dogadzali swojej jedynaczce.

— Co ty masz na śniadanie?—pyta Jadzia raz Stefci.

— Chleb — odpowiada cicho Stefcia.

— Jakto? chleb sam bez masła? Jakże to możesz jadać? — Ja to, patrz, mam bułeczkę z masłem i z serem.

I obie dziewczynki zabrały się do swego śniadania. Żal przejął Jadzię, gdy patrzyła na towarzyszkę, wzięła połowę swojej bułeczki i dała Stefci.

— Moja Stefciu, weź odemnie ten kawałek, spróbuj jak to smakuje.

Stefcia z początku nie chciała, ale w końcu uległa usilnym prośbom Jadzi.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, Jadzia połowę swego śniadania oddawała codzienie koleżance, a chociaż sama często czuła nieco głodu, wołała jednak trochę pocierpieć, byle podzielić się z towarzyszką.

W czasie śniadania opowiadały sobie dziewczynki o domu, o rodzicach. Wtedy dopiero poznała Jadzia, jak biedną jest jej towarzyszka.

— To ty nigdy nie miałaś ani zabawek, ani pieniędzy? — pytała Jadzia.

— O, nie, zkażdębym je miała! Przecie zarabiać nie umiem, a tatuś mój ma bardzo mało pieniędzy, nawet na książki mię nie stać.

Jadzia chwilkę się namysliła.

— Wiesz, a ja to miewam czasem swoje pieniądze. Wujek mi daje na ciastka, ciocia na obrazki. Mama pozwala mi robić z niemi co zechcę.

Od tego czasu Jadzia wciąż myślała o Stefci, myślała, jak jej dopomódz. Wróciwszy do domu, policzyła swoje drobne pieniądze i przekona-

ła się, że za nie kupi dla Stefci książkę i ładną obsadkę.

Tak też i uczyniła.

A że przyszła wcześniej od Stefci, więc obie rzeczy położyła jej na stole.

Jakież było zdziwienie i jakaż radość biednej dziewczynki, gdy ujrzała taki prezent. Domyśliła się zaraz od kogo pochodzi i serdecznie uściskała swą towarzyszkę.

Odtąd Jadzia o tem jedynie myślała, jakby coś zrobić dla Stefci. Jeżeli dostawała co od kogo, dzieliła się z nią zawsze. Czasem bardzo głodna wracała do domu, bo większą część swego śniadania oddała Stefci, ale tak jej jakoś wesoło na duszy było, choć sama nie wiedziała czemu.

Czas na nauce schodził im prędko. Nastala Wielkanoc. Dzieci miały dużo wolnego czasu. Każdy obiecywał sobie zabawić się w tym czasie.

Jadzia krzątała się w swym pokoiku, gdy w tem wchodzi Stefcia i przynosi doniczkę fijołków.

— Moja Jadziu powiada dziewczynka, ja też chciałam ci co podarować, ale nic nie mam takiego; poszłam do lasu, pod krzakiem zobaczyłam ten ładny fijołek i wykopałam go dla ciebie.

Dziewczynki ucałowały się serdecznie.

Jadzia porwała doniczkę i pobiegła pokazać ją mamie.

— Wiem—rzekła mama—dowiedziałam się od Stefci, za co dostałaś kwiatek, a teraz postaw go na

swoim okienku i podlewaj. Niech on ci przypomina tę biedną Stefcie, której masz i nadal dopomagać.

Był to ten sam fijołek, który ciężką próbę zimową wytrzymał, a śliczny zapach jego kwiatków napełnił teraz pokój dobrej dziewczynki.





DWA CZYŻYKI.

Byla wiosna. Słońko dobrze już grzało, listki na drzewach rozwinęły się, a strumyk płynął tak żwawo, jakby cieszył się że mu z wiosną dużo wody przybyło.

Na wierzchołku wysokiego drzewa w lesie, siedziały dwa małe ptaszki.

Jeden był prawie czarny, miał tylko grzbiet żółtozielony, piersi żółte i podbrzusze białe; drugi był podobny do niego, tylko od spodu miał piórka żółtawo-białe z ciemnymi prążkami.

Ptaszkami temi były czyżyki.

— Cir-cir — mówi ptaszek jeden — czyś nigdzie nie znalazła dobrego drzewka?

— Owszem, widziałam ładną, rozłożystą, wy-

soką brzozę; zdaje mi się, że na niej można gniazdko dobrze umieścić.

— Ale gdzież tam, moja kochana! czy nie wiesz, że lada wietrzyk gałęzie brzozy rozwieje i nasze gniazdko dostrzeże ptak jaki lub zwierzę drapieżne? Sądzę, że nic z tego nie będzie; trzeba lecieć do iglastego lasu, może się tam prędzej co znajdzie.

I poleciały czyżyki do innego lasu.

Tym razem były szczęśliwsze, bo prędko ujrzały ulubione drzewo swoje, dużą jodłę. Szybko pofrunęły i usiadły na jej wierzchołku.

— To mi drzewko! Jakie gęste, jaki widok ztąd ładny. U spodu strumyk płynie, naokoło drzew iglastych pełno.

— A więc zabierajmy się do roboty — mówił drugi czyżyk — inne ptaszki już mają gniazdzka pouścielane.

wzięły się ptaszki do pracy.

Na samym wierzchu drzewa, wybrały cienkie gałązki, uplotły z nich gniazdko, poczepiały suchą trawą, pozatykały mchem szparki, a wokoło poprzykrywały porostem. Z innych gałązek zrobiły rodzaj daszku nad gniazdkiem, jako ochronę przed deszczem.

— Odpocznijmy teraz trochę.

I ptaszki, usiadły na gałązce, ale ciągle myślały o swoim przyszłym mieszkanku.

— Już mamy gniazdko prawie wykończone, musimy je teraz czem zapełnić wewnątrz, aby naszym pisklątkom było wygodnie i miętko.

— Z tem będzie trudniej. Gdzie tu znaleźć co miękkiego? nawet mech jest zatwardy. Lećmy znowu w świat, może co znajdziemy.

Pofrunęły czyżyki, każdy w inną stronę.

Jeden z nich długo nie wracał, już słońko się zniżyło, już wieczór nadchodził, a czyżyk nie przylatywał. Drugi ptaszek siedział przy gniazdku i bardzo był robotą zajęty.

— Cir-cir-cir — zawołał nareszcie drugi czyżyk, wpadając zadyszany do gniazda.

— Cir — odpowiedziała mu towarzyszka — cóżeś tak długo nie wracał, mój drogi? Bałam się czy cię jakie nieszczęście nie spotkało.

— Bo też moja droga, miałem pełno przygód. Latałem tu i owdzie, szukając jakiego puszku i nie znaleźć nie mogłem. Nareszcie patrzę, na polu leży kłębuszek wełny. Chwytam go czempędzej i unoszę w powietrze. Wełna była bardzo gruba i poplątana, więc usiadłem na gałązce i zacząłem ją rozskubywać. Kiedym już kończył robotę, a dobrze się namęczyłem, bo mnie aż dziób zabolął i o małym pazurków nie połamał, w tem wiatr porywa moją wełnę. Lecę za nią, a wiatr unosi ją coraz prędzej, coraz wyżej; wyprężyłem skrzydła, pędząc co sił starczy, postanowiłem bowiem nie wracać bez wełny, i możebym niewiedzieć jak dłu-

go ją ścigał, gdyby nie wysoka sosna, o którą się wełna zaczepiła. Mam cię nareszcie, myślę, a tu znowu bieda, gdyż wełna tak się zaczepiła o igły, że nie było sposobu wydobyć jej stamtąd, to też urwałem parę kawałków i przynoszę choć tę odrobinę. Ale co widzę! ty masz całe gniazdko wysłane i to jak miękko! Co ty masz takiego?

— O, mnóstwo rzeczy! To jest puszek, który znalazłam na polu, tam dwa piórka sowy, leżały w lesie; a to pajęczyna, widzisz jaka mięciuchna. Na naszym drzewie tuż była, więc ją zabrałam. Pająk się strasznie rozgniewał, wyskoczył, a ja go cap! i schrupałam.

— Dobrze się urządziłaś — nie zmęczyłaś się tak jak ja — a zrobiłaś więcej. Może ci już wełna niepotrzebna?

— Przyda się — połóż ją z boku. A teraz możemy sobie spocząć, bo już bardzo późno.

Usiadły ptaszki w swoim nowym domeczku i zasnęły. Nie słyszały jak deszcz padał, jak wiatr wył, jak puszczyk krzyczał. Czyżykom było ciepło i dobrze.

II.

Nazajutrz bardzo wczesnie obudziły się ptaszki, wyfrunęły z gniazdka i zaczęły się rozglądać na wszystkie strony. To wzlatywały na sąsiednie

drzewa, to siadały na ziemi, to wchodziły na gałęzie jodły.

— O, dobrze nam tutaj—chyba żaden drapieżnik nie dojrzy naszego domku.

Gniazdko rzeczywiście było zręcznie zrobione i tak ukryte, że niktby się nie domyślił jego istnienia. Było zupełnie schowane w gałęziach i porostach, tej samej barwy co one.

Cieszyły się czyżyki bardzo, że się im tak gniazdko udało. Cieszyły się tak bardzo, że z radości skakały po gałązkach, kwiliły, świergotały, ciągle ze sobą rozmawiając.

Nareszcie jeden z nich usiadł na cienkiej wystającej gałązce i zaczął śpiewać. Z początku pocichu, a potem coraz głośniejsze, coraz piękniejsze, coraz donośniej.

Dziwił się ogromnie drugi czyżyk. Słyszał nieraz czyżyki, ale tak ładnie śpiewającego nigdy. Usiadł więc na drzewku w pobliżu i słuchał.

— Jaki on piękny — myślał sobie — ten mój czyżyczek, jak się lśnią jego zielonawe piórka na grzbiecie; albo te żółte na spodzie; główkę zaś zupełnie ma czarną. O! niema chyba piękniejszych ptaszków na świecie, jak my czyżyki. Ja chociaż jestem także czyżykiem, ale się z nim porównać nie mogę. Na grzbiecie zamiast ładnych zielonych piórek, mam jakieś szaro-zielone; na spodzie znowu białe, a boki całe pstre. I głosu wcale nie mam,

próbowałem kilka razy zaśpiewać, kwile, kwile, a dalej ani rusz.

Czyżyk smutnie spuścił główkę i zamyslił się. W tem jakby mu coś nowego przyszło do głowy, frunął i poleciał wprost do gniazdka.

Czyżyk na gałązce wciąż śpiewał i śpiewał, głos jego rozlegał się daleko po całym borze. Skończył nareszcie.

Obejrzał się w około, lecz nie dojrzał swej towarzyski. Poleciał w jedną i w drugą stronę, niema; chciał lecieć dalej, ale wprzód zajrzał do gniazdka i zobaczył czyżyka siedzącego spokojnie.

— Przecież jesteś! — zawołał. — Sądziłem żeś gdzie odleciała. Cóżżeś robiła przez ten czas? siedziałaś?

Ptaszyna nic nie odpowiedziała, podniosła skrzydełko, a pod niem zobaczył czyżyk ładniuchne jajeczko.

Cóż to była za radość! co za gwar! Kwileniu i świergotaniu nie było końca.

— No, ale chodźmy na obiad, musisz być bardzo głodna, bośmy z radości gotowi o jedzeniu zapomnieć, a przecież od rana nie mieliśmy nic w dziobkach.

— Zaraz kochanku — odpowiedział czyżyk — przykryję tylko moje jajeczko.

I ptaszyna wydobyła z piersi trochę piórek, włożyła je do gniazdka, a odlatując, oglądała się parę razy, czy się kto nie zakrada.

III.

Tak przeszło kilka dni; jeden czyżyk wyśpiewywał wciąż, a drugi jajeczka składał, wszystkie jednakowo blado-zielone z ciemnymi kropeczkami. Było ich teraz w gniazdku aż pięć. Teraz czyżyk nie odlatywał z gniazdku tak często, poleciał na chwilę, zje parę robaczków i wraca czempredziej.

Drugi ptaszek nie odstępował swej towarzyski, śpiewał jej i znosił pożywienie.

Pewnego poranku samiczka, siedząca na jajkach posłyszała jakiś szelest pod sobą. Podniosła skrzydełko i zobaczyła, że z jajka wychodzi malutkie pisklę.

— Cir-cir — zawołała matusia na czyżyka, ale czyżyk nie słyszał.

— Cir-cir-cir — zawołała znowu z całych sił— cir-cir.

Przestraszony czyżyk przylatuje co tchu, sądził bowiem że jakie nieszczęście spotkało jego towarzyszkę.

— Zobacz, zobacz przedziej, mamy już pisklątko, patrz co za maleństwo; golusieńkie, a dziobek jaki żółciuchny!

Pisklę tymczasem wydobyło się z jajka, szeroko otworzyło dziobek, zakwiliło cieniuchnym głosem: pi-pi-pi.

— Głodne biedactwo! Zaraz kochaneczku, przyniosę ci śniadanie.



Prędko poleciał tatuś czyżyk, a mamusia przykryła znowu pisklątko skrzydełkiem, żeby mu nie było zimno.

Po chwili wrócił czyżyk z muszką w dziobku, i włożył ją do dziobka swego pisklątka.

W parę dni ze wszystkich jajeczek wylęgły się pisklątka, a otwierały szeroko dziobki i wołały: jeść, jeść, jeść! Rodzice mieli dużo pracy, dzień cały latali za żerem, czasem sami byli głodni, a dziatkom swoim przynosili to ziarno, to muszkę.

Pisklątka rosły zdrowe i tłuste, piórek miały dużo na całym ciele i nawet skrzydełka im wyrosły.

— Cieszcie się — mówił raz czyżyk, przylatując do gniazdka — widziałem pole zasiane konopiami; na jesieni, jak dojrzeją, będziemy mieli ucztę. Tylko trzeba żebyście się nauczyli wpierw fruwać. Ot, spróbujemy: podnieście główki do góry i ruszajcie skrzydełkami.

Pisklątka podniosły główki, ale w żaden sposób nie mogły równo skrzydełkami poruszać. Każde się starało, jedno po drugim; wlażyły na siebie wzajemnie deptały się po główkach, uderzały skrzydełkami. Pisk wszczął się taki, aż ojciec nareszcie powiedział:

— Dosyć już tego na dziś, jutro spróbujemy znowu, a teraz polecę po ziarnka dla was.

I pofrunął.

IV.

Czekały pisklątka na ojca, czekały na smaczne ziarnka, które im przynosił. Ale jakoś nie widać

go było. Czekwały długo, nareszcie piszczeć zaczęły. Matusia też była niespokojna, wzlatywała wciąż to na gałązki, to na wierzchołek drzewa, wyglądała swego towarzysza, ale czyżyk nie wracał. Zaczynało się ściemniać, wiatr zimny powiewał, nad lasem unosiła się mgła. Matusia czyżyk wskoczyła do gniazdko, przygarnęła swoje pisklątko, przykryła je skrzydełkami, żeby się nie pozaziębiały.

Pisklątko głośno krzyczały za tatusem, ale powoli, powoli uspokoiły się i zasnęły. Mamusia tylko oka nie zmrużyła, czekała na czyżyka.

Na drugi dzień czyżyk także nie wracał. Przeszło dni kilka, mamusia sama musiała nakarmić całą gromadkę; zmęczona, czasami bez sił prawie padała w gniazdko. Pisklątko starały się jak najprędzej nauczyć fruwać. Przypominały sobie nauki i przestrogi ojca i z każdym dniem większe postępy robiły; już mogły z jednej gałązki na drugą przelatywać.

Nareszcie jednego dnia cała gromadka wyruszyła na dalszą wycieczkę. Odpoczywając co chwila, doleciała do brzegu lasu. Tu wskazała mamusia, gdzie mają szukać oleistych nasionek, gdzie pączki żywiczne zrywać, gdzie jakie muszki łapać. Pisklątko zrozumiały matkę doskonale; rozleciały się na wszystkie strony.

Jakby to ojciec ucieszył się, widząc swój drobiazg tutaj!

Takie wędrówki odbywały się coraz częściej, nareszcie codzien.

Młode czyżyki fruwały już zupełnie dobrze, każdy z nich sam sobie pożywienie wynajdywał, a jednak nie rozlatywały się jak inne ptaki, trzymały się zawsze razem.

Tak przeszło lato i nadchodziła jesień. Ptaszków w lesie było coraz mniej, odlatywały do cieplejszych krajów; muszki też jedne wymierały, drugie gdzieś się kryły, kwiatki usychać zaczęły.

— Nie wróci już pewno wasz ojczulek — mówiła stęskniona mamusia czyżyków. O, te drapieżniki! sowa lub orzeł porwały mi towarzysza.

Czyżyki wybierały się także w drogę.

— Czy także polecimy z innemi ptaszkami? — pytały matki.

— Nie, kochanki, tamte ptaszki lecą bardzo daleko, a my tylko przeniesiemy się do sąsiedniego lasu iglastego.

— Czemu mamusiu? Kiedy tu tak nam dobrze!

— Dobrze w lecie, a w zimie z głodu pomarlibyśmy; w tamtym zaś lesie znajdziemy dosyć pożywienia. Są tam na drzewach małe szyszeczki czarne, a w nich ziarenka, zobaczycie jak wam będą smakowały. Wkrótce potem czyżyki pożegnały swoje gniazdko i odleciały.

V.

Dnie były coraz zimniejsze, już i śnieg pruszył, ale słońko jeszcze grzało i czasem bardzo jasno świeciło.

W taki jeden ładny dzień, mama czyżyk siedząc na leszczynie, posłyszała jakiś donośny śpiew.

— Któżby to mógł być?—myśli sobie—przecież wszystkie ptaki śpiewające odleciały, a te które zostały nie śpiewają w zimie. Śpiewa, śpiewa, a głos podobny do głosu czyżyka, tylko jeszcze piękniejszy.

Nie namyślając się długo poleciała.

Na wysokiej topoli siedział śpiewak.

Poznała matusia-czyżyk, co to był za ptak. Jak strzała przyfrunęła do niego. Był to czyżyk, czyżyk, czyżyk-tatus jej piskłatek. Co było radości, co gwaru, trudno powiedzieć! Prędko i młode czyżyki nadleciały, a uciecze nie było końca.

— Mój drogi — powiedziała nareszcie mamusia-czyżyk — opowiedzże nam co się z tobą działo i gdzieś się chował przez ten czas?

— Dobrze—odpowiedział tatuś czyżyk—opowiem wam wszystko, co mnie w tym przeciągu czasu spotkało:

— Kiedym wówczas poleciał po żywność dla dzieci, widzę tuż przy strumyku leży dużo ziarenek.

Myślę sobie, toż to dopiero będzie uczta. Nietylko dzieciom starczy, ale i sam się najem. Wtem

coś mię targnęło za nogę. Chciałem odlecieć, a tu obie nogi się zaplątały.

Przyszedł człowiek zabrał mnie do domu i wsadził do klatki.

Rozpacz mię brała, nie wiedziałem co się ze mną dzieje, zdawało mi się, że ani jednego dnia nie wytrzymam w tem więzieniu.

Ale trudno, trzeba było cierpieć.

Siedział ze mną także w jednej klatce jakiś ptaszek cały żółty. W naszym lesie nigdy go nie spotkałem.

Ptaszek ten jak gdyby nie czuł że jest w więzieniu, był wesół, skakał, jadł dobrze i śpiewał bardzo ładnie.

Śpiew ten rozrywał mnie trochę. Próbowalem parę razy śpiewać z nim i udawało się nam.

Potem ptaszek zapraszał mnie coraz częściej do wspólnego śpiewu i wkrótce śpiewałem tak jak on.

Ludziom widać to się podobało, bo żywili nas dobrze, dawali dużo rozmaitych ziarn, konopi, trawy—ale cóż z tego—kiedy mnie ogarniała tęsknota za wami.

Pewnego razu świeże powietrze wionęło na mnie, podniosłem głowę i zobaczyłem okno otwarte.

Zleciałem do drzwiczek klatki, widzę że są tylko przymknięte, trąciłem je — otworzyły się, i, o szczęście! byłem w lesie w oka mgnieniu. Ciekawym, czy mój towarzysz uczynił to samo?

— To tatuś teraz tak śpiewa, jak ten żółty ptaszek i zawsze nam tak śpiewać będzie? — pyta młody czyżyk.

— I nas też nauczy? — mówi drugi.

— Jacy my szczęśliwi — jacy my szczęśliwi — zaświergotały pisklęta pi-pi-cir-cir!



I gromadka ptasząt zaczęła znowu wesoło szczebiotać.

Czyżyk naprawdę śpiewał teraz lepiej od wszystkich innych czyżyków w lesie, a wszyscy słuchali ze zdziwieniem, nie mogąc zrozumieć skąd tak ptaszek śpiewa.

Na rok następny gromada czyżyków powiększyła się. Stare czyżyki miały inne dzieci, a młode znów swoje pisklęta. Wszystkie trzymały się razem i sływały w lesie z pięknego śpiewu, którego ojciec ich nauczył się od kanarka, będąc w więzieniu.



STRACHY W LESIE.



małym domku leśnika panowała zupełna ci-
sza; leśnik wyszedł przejrzeć las, a żona jego
nie wróciła jeszcze z pobliskiego miasteczka,
gdzie miała kupić soli, mąki i innych zapasów po-
trzebnych w gospodarstwie. W chacie pozostała
tylko dziesięcioletnia ich córka Małgosia. Krzątała
się ona żwawo, by rodzicom których niebawem się
spodziewała z powrotem, przygotować wieczerzę.
Rozpaliła więc ogień na kominku i przystawiła doń
kociołek z wodą, a na stole zasłanym czystą, cho-
ciaż grubą serwetą, ustawiła: sól, chleb, łyżki i tale-
rze; poczem zadowolona szepnęła:

— No, teraz to już matula i tatuś nadejść
moga.

Usiadła przy oknie i wyglądała czy nie nad-
chodzą. Lecz długo tak siedziała, ściemniać się już
zaczynało, a nikogo na ścieżce widać nie było, Mał-
gosia poczęła się niepokoić: to wybiegła na ganek,

to znowu wracała do izby. W tem dolatują ją jakieś niewyraźne jęki z lasu; nadśluchuje uważniej, tak, oczywiście, ktoś jęczy lub ratunku woła.

— Jezus, Marya! — myśli Małgosia — cóżby to być mogło? Może jakie nieszczęście ojca spotkało!

Czytała ona nieraz o zbójcach, którzy się w lesie ukrywając, napadają, rabują, a nawet zabijają ludzi, zimno ją przejęło, gdy o tem pomyślała.

A-hu! a-hu! doleciało ją znowu. Strasznie już teraz przerażona dziewczynka, chciała iść do drzwi, lecz taka obawa ją opanowała, że ruszyć się z miejsca nie mogła. Tymczasem zupełnie już noc zapadła, a Małgosia siedząc przy stole ukryła twarz w dłoniach płacząc i drżąc cała; nie zauważyła nawet, że ogień na kominku wygasł, i że trzeba było światło zapalić. Bo jakże tu myśleć o czemkolwiek, gdy tam za oknami rozlegają się ciągle te straszne głosy: Ahu! Ahu!... słychać tentent koni, uciekanie, wołanie ratunku... Tak, teraz jest już pewną, że zbójcy zabrali jej ojca i matkę, a teraz idą zrabować dom i pewnie ją zabiją. Naraz słyszy wyraźnie tuż po za oknem głosy ludzkie i rozmowę, więc prawie bezprzytomnie szepcze: Już... już... nadchodzą—mój Boże!... Słyszy jeszcze ciężkie stąpanie po wschodach, gwałtowne naciśnięcie klamki i...

— Ach, ja nieszczęśliwa!—woła dziewczę i pada na ziemię nieprzytomna.

— Co się to stało — pyta troskliwie matka

Małgosi, wchodząc do izby — co ci to jest dziecko moje?

Ojciec tymczasem zapaliwszy światło, podniósł z ziemi zemdloną dziewczynkę i tulił do siebie, nie rozumiejąc coby się dziecku stać mogło.

Powoli Małgosia uspakajała się nieco, widząc rodziców przy sobie, i wkrótce opowiedziała im swoje obawy, co się jej zdawało i czego się tak bardzo lękała.

— Nic dziwnego, dziecko moje — rzekł ojciec — żeś słyszała rozmowę za oknem; niedaleko bowiem domu spotkaliśmy się z matką, i idąc razem, rozmawialiśmy z sobą. A gdy otwierał drzwi, zdawało ci się, że to zbójcy idą! Ha, ha, ha! — śmiał się ojciec — to z ciebie zuch dziewczyna! Od czasu jak mieszkam w tym lesie i o różnej chodzę porze, nigdy jeszcze nie spotkałem zbójcy.

— A co znaczyły te krzyki i jęki po lesie? — spytała jeszcze Małgosia.

— To ci się pewnie z wielkiego strachu zdawało — odpowie ojciec. Gdy jednak tych słów domawiał, z za okna doleciał ich głos: Ahu! Ahu!

— A co, słyszycie? — pytało dziewczę trwoźnie.

— Więc to ten głos napędził ci takiego strachu! — roześmiał się ojciec. — Chodź ze mną, pokażę ci zaraz tego zbrodniarza.

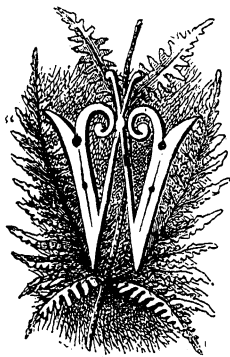
Noc była widna, więc dobrze wokoło rozejrzeć się było można. Na dachu domku leśniczego sie-

dział puszczyk i wciąż powtarzał swe przeraźliwe wołanie: A-hu! A-hu!

Teraz już reszta obawy opuściła Małgosię, przekonała się bowiem naocznie, że nie było czego się lękać, w końcu nawet śmiała się sama z siebie. Długo jednak pamiętała przygodę z puszczykiem, która ją oduczyla wszelkiego niepotrzebnego strachu.



Dobre Dzieci.



pewnym domku mieszkała praczka z dwojgiem małych dzieci. Była ona bardzo uboga, a pilnie pracowała. Cały dzień od rana do nocy prała, czasem ręce miała nabrzmiące, ale nie mogła odpoczywać: któżby jej dzieci karmił i przyodziewał? Dobre były jej dzieci: nie nudziły matki, kiedy była zajęta, a bawiły się same na ganku domu, albo w ogródku, który znajdował się tuż przy domku.

W tym to ogródku dzieci bardzo lubiły bawić się, biegały, budowały fortece, domki z kamieni i wiele innych rzeczy.

Raz kiedy się dzieci tak bawiły w ogródku, usłyszały jak matka zawołała na Wacusia. Wacus

miał już lat siedm, był starszy o rok od swego braciszka; zerwał się i prędko pobiegł do matki.

Po chwili wraca z głową na dół spuszczoną.

— Co ci to? — pyta Stach, jego brat — czy się mama na ciebie za co gniewała?

— Nie Stachu — odpowiada Wacusz po cichu — nie łąjała mnie, ale żebyś ty wiedział, jaka nasza matka biedna!

— Dla czego? — pyta braciszek.

— Jaka biedna — mówił ze łzami w oczach Wacusz. — Zawołała mnie, ażebym rozwiązał supełek sznureczka, bo ją ręce boła. Spojrzałem na jej ręce, były na nich tak wielkie pęcherze, jak gdyby się poparzyła. Pytam tedy, dla czego mama tak pokaleczone ma ręce?

— Z pracy to, synku — odpowiedziała — od świtu piorę, teraz spieszyć się muszę z prasowaniem.

— Prosiłem mamy, ażeby wypoczęła, ale ona powiada, że jakby teraz wypoczywała, to nie będzie mogła kupić chleba na podwieczorek.

— Biedna matka westchnął po cichu Stach — żebyśmy to jej w czem pomódz mogli?

I zamyślili się obaj chłopcy.

— Ach wykrzyknął Wacusz — wiem, co zrobić! Tam za naszą osadą jest duży budynek. Mieszka w nim bardzo dużo ludzi, widziałem raz, gdy bieliznę z mamą nosiłem. Pójdę i poproszę, żeby mi dali jaką robotę, jestem silny, potrafię pracować.

— I ja — zawołał Stach.

— No, to chodźmy!

I chłopcy nie myśląc długo, przeszli przez parkan i pobiegli wprost przed siebie, gdzie zdaleka wznosił się duży budynek z ogromnym kominem!

Biegli długo, wreszcie zatrzymali się przy czerwonym gmachu.

— Co to za dziwny dom? — mówi Stach — nigdy nie widziałem takich domów; na co taki duży komin? A jaki turkot w tym domu, jakby tysiąc koni po moście stąpało.

Była to fabryka papieru.

— A wy co tu robicie? — zapytał pewien pan, przechodząc koło dzieci.

Przestraszeni chłopcy wybąknęli nieśmiało, że szukają pracy.

— Jakto! wy chcecie pracować, tacy mali? Skądże wam się wzięła ta ochota?

Wtedy chłopcy opowiedzieli, że mają ubogą matkę i że chcą zapracować, ażeby jej choć trochę przynieść ulgi. Bardzo spodobała się panu mowa chłopczyków i powiedział do nich:

— Kiedy tak, to się znajdzie i dla was robota. Weźcie te worki co tam leżą, chodźcie po wsi od chaty do chaty i zbierajcie rozmaite szmaty, nowe, stare, czyste czy brudne, a zapłacę wam tak jak innym.

Uszczęśliwieni chłopcy skłonili się panu i po-

biegli do domu. Nic nikomu o tem nie powiedzieli, ale nazajutrz wstali bardzo wczesnie, pobrali kijki i poczęli zbierać różne kawałki płócienne lub bawełniane po podwórkach i przed domami. Kiedy worek był już pełen, odnieśli go do fabryki. Pan przyjął szmaty i zachęcił ich, żeby jeszcze więcej zbierali i przynieśli.

Chłopcy po raz drugi ruszyli na poszukiwanie szmat, a kiedy przynieśli drugi worek, ten sam pan, którego spotkali dawniej przy fabryce, zważył na wadze szmaty i zapłacił za nie.

Wacek i Stach nie wiedzieli, ile im zapłacono, bo nigdy nie mieli pieniędzy i dla tego ich nie znali. Pobiegli więc do domu, pocałowali matkę w rękę, położyli na stole pierwszy swój zarobek, opowiedzieli, jak się to stało i prosili, ażeby matka choć dzień jeden wypoczęła.

— Dziękuję wam dziatki kochane.

Matka była bardzo szczęśliwa, że ją tak dzieci kochają i żałują, a drugiego dnia nie wzięła się do prania, lecz poszła ze swymi synkami do ogródka.

Jakaż to była radość dla chłopców; nigdy jeszcze nie było im tak wesoło. Zdawało się, że i słońko tego dnia jaśniej świeciło i kwiatki ładniej kwitły, a wietrzyk przyjemniej powiewał.

— Matulu—pytał Stach—myślę i myślę, a nie mogę się domyśleć, na co temu panu te gałgany? czy on z nich szyje ubranie?

— Nie, bierze je do fabryki i przerabia na papier.

— Jakto! z tych gałganów robi się papier? To rzecz ciekawa. Chciałbym to zobaczyć.

— Jak kiedy pójdę do fabryki—rzekła matka— to poproszę wuja, który tam pracuje, żeby ci pokazał jak to się robi.



D U D E K.



ROZDZIAŁ I.

a łąkach i lasach, znać było wiosnę. Młode, zielone listki rozwijały się z dniem każdym, a kwiaty i trawki przystrajały się jedne lepiej od drugich.

Ptaki również dowiedziały się o wiosnie i gromadami całymi zaczęły wracać do miejsc rodzinnych.

— Hup-hup-hup!—rozległ się donośny głos po lesie.

— Co to jest?—spytała swoje sąsiadki strwożona wilga. Kto taki głos wydawać może?

— Pierwszy raz zdarzyło mi się coś podobnego słyszeć. To jest głos jakiegoś nieznanego ptaka; może drapieżnik nowy się zjawił?

— Hup-hu! — posłyszano znowu trochę dalej.

— Chodźmy go szukać; daj pokój tej robocie — mówiła wilga do drozda, który słał sobie gniazdko; jeżeli jaki drapieżnik zamieszka blisko, będziemy musieli gdzieindziej szukać schronienia.

Wilga prędko zaczęła się uwijać, przylepiła parę gałązek do gniazdko i poleciała za drozdem.

Ptaszki skierowały się w stronę, skąd dochodziły odgłosy hukania.

Wkrótce zobaczyły ptaka, lecącego brzegiem lasu.

— Nie wzbijajmy się wysoko, bo może nas dojrzeć—szepcze drozd.

Tak śledząc za ptaszkiem, doleciały aż do skrajku lasu. Tu się ukryły na gęstym świerku i bacznie przyglądać się zaczęły nowemu przybyszowi.

— Eh, moja kochana—powiada drozd do wilgi — byłoż się kogo obawiać? Zwyczajny sobie ptak, żaden drapieżnik!

— Ale gdzież tam! — mówi wilga — wcale nie zwyczajny, spójrzno co za czubek na głowie! Jak nim porusza! Patrz, to go zwija to rozwija. A ten dziób duży, i śpiczasty! Wiesz, obawiam się, że nim broić będzie! Kto wie? Sikora jeszcze mniejsza, a piskłętom naszym dzioby rozbija. Jeżeli nie dla nas, to dla dzieci naszych może być ten ptak niebezpiecznym. Musimy się dowiedzieć, co to za jeden.

Odleciały ptaki z powrotem.

Po drodze spotkały mnóstwo znajomych, i wszystkim opowiedziały o dziwnym przybyszu; nikt wszakże nie mógł powiedzieć co to za gość.

W parę dni później, wieść o ptaku z czubkiem rozniosła się po całym lesie.

Niepokój ogarnął wszystkie ptaki tak dalece, że nawet gniazda słać sobie przestały. Kolejno wylatywały na leżącą za laskiem polankę, gdzie często ów nieznany gość przelatywał i przyglądały mu się ciekawie.

Nareszcie postanowiły odnaleźć najstarszego ptaka w lesie i prosić go o wyjaśnienie zagadki.

Tym sędzią był kos stary.

Bardzo wczesnym rankiem mnóstwo ptaków zlatywało na dębiny, a każdy zajął osobną gałązkę.

Słońce się wzbilo wysoko, kiedy do nich przyleciał kos.

Wyglądał bardzo poważnie w czarnej szacie i z dużym żółtym dziobem; leciał wolno, a potem usiadł na grubej gałęzi dębu.

— Mam podobno dać wam objaśnienie, co do nowego przybysza, ale przedtem proszę o szczegółowy jego opis, bo sam już nie widzę dobrze, czy mi służyć przestają.

Jeszcze nie skończył kos przemówienia, gdy się gwar zaczął straszny: każdy ptak chciał powiedzieć co widział, a jeden drugiego starał się przekrzywić.

Rozgniewało to kosa, gwizdnął więc głośno, dla uspokojenia rzeszy.

— A to co za zgraja krzykaczy! — woła — czy dlatego fatygowałyście mnie starego, żebym słuchał waszego wrzasku? Niech mi każdy kolejno opowiada, co dojrzał w nowym ptaku.

— Ja—powiada drozd—widziałem, że ów ptak jest cały rudy z czarnymi plamkami; na głowie miał nieco jaśniejszy czubek pierzasty.

— Ja — wyskoczyła sroka...

— Czekać!—powiada kos surowo —kolejno mówić będziecie —jamiółucha ma głos.

— Ja spostrzegłam, że ma dziób niezmiernie długi, a cienki.

Sroka tymczasem zmienia miejsce, usiadła tuż przy kosie i znowu się wyrwała:

— O co to, to nieprawda...

— Cicho, nie trajkocz mi tu; co sójka spostrzegła? — pyta kos.

— Widziałam—odpowie sójka — w jaki dziwny sposób łapie owady: najpierw chwytą je dziobem, dusi, następnie podrzuci w górę i tak zręcznie podskakując, dziób nadstawia, że żuk wprost do gardła mu wpadnie.

— A ja... — znowu wyskoczyła sroka.

Kos gniewnie gwizdnął i kazał jej usiąść na innym drzewie, wyznaczając ostatnie miejsce.

Zakręciła się sroka i zaskrzeczała:

— Zawsze z wami mam takie szczęście; nie dadzą mi ani miejsca porządnego, ani dojść do sło-

wa, rozwodzą się nad nudnym gadaniem, jakby to co ciekawego było.

A ptaki tymczasem kolejno opowiadały swoje spostrzeżenia.

Nareszcie przyszła kolej na srokę.

Prędko zeskoczyła z gałęzi, ogonem poruszała, głową kręciła i niewyraźnie bełkotać zaczęła:

— Ja widziałam... widziałam...

— No, cóżes widziała?—pyta kos—wyrываłaś się, przecie?

— Owszem, widziałam, bardzo dużo...

I zamyśliła się.

— A, krzyknęła, jakby przypominając sobie, widziałam, że ten ptak miał dwa skrzydła.

Wszystkie ptaki parsknęły śmiechem, kos nawet nie wytrzymał i śmiał się wraz z innymi.

— To mi osobliwość powiedziała! A widziałaś kiedy ptaka o jednym, lub o trzech skrzydłach? Et, dałabyś pokój swemu bełkotaniu, siedziałabyś cicho, gdy nie masz nic ciekawego do powiedzenia.

— Z tego com słyszał—powiada kos poważnie—
— widzę, że do nas przyleciał dudek. Poczciwie to stworzenie, nic wam złego nie zrobi, żywi się same-
mi owadami. Dobry przytem towarzysz, chociaż
nie bardzo lubi w wielkich przelatywać gromadach.
Radzę wam zapoznać się z nim bliżej, a zabawi was
nieraz.

— A to ja, ja...—zaskrzeczała sroka znowu—ja
mu się zaraz przedstawię. Tylko moja droga—rze-

cze zwracając się do wrony, — powiedz mi, jak ten wasz dudek wygląda, bo prawdę mówiąc, nigdym go jeszcze nie spotkała.

ROZDZIAŁ II.

Kiedy i jak ptaki zapoznały się z dudkiem i kto pierwszy przedstawił mu się, niewiadomo.

W lesie teraz tylko o dudku mówiono i na dudka patrzano; podobał się bardzo wszystkim ptakom, lubiły go nawet i przyglądały się jego figłom na łące, a było tych figłów dosyć.

Dudek to się schowa w trawie, to znowu wyskoczy, uchwyci owada i nuż go podrzucać coraz wyżej do góry. To znowu przewróci się na ziemi z dzióbkiem do góry, rozpostrze skrzydła i leży jak nieżywy, a ptaki w około przyglądają mu się i śmieją.

— Powiedz mi, mój drogi— pyta raz słowik dudka— czy ty nigdy głodny nie bywasz, że tak się długo bawisz z owadami, nim je zjesz; ja, to je chrupię w jednej chwili.

— Jabym też postąpił w ten sposób, tylko widzisz — powiada dudek trochę zażenowany — muszę ci wyznać sekret wielki, o którym w lesie nikt jeszcze nie wie: mam bardzo krótki język. Łapię i duszę żuki i muchy z łatwością, ale trzymając je w dziobie, nie mogę w żaden sposób sięgnąć po nie językiem. Więc podrzucam je do góry, roztwieram dziób,

a owad wpada mi wprost do gardła. Wtedy łykam go z apetytem. Ale, mój drogi ptaszku, nie zdradzaj przed innymi mego sekretu!

— Dobrze — odpowiedział słowik — dziwny z ciebie jednak ptaszek!...

Wiosna miała się ku końcowi, wspaniałe konary drzew zaciaśniały las zupełnie i w gałęziach swoich chroniły mnóstwo gniazdek ptasich. Śpiewu było coraz mniej w lesie, a nawet hukanie dudka coraz rzadziej rozlegało się na łące.

Ptaszki były bardzo zajęte, siedziały na jajkach w gniazdkach.

Pewnego poranku dał się słyszeć donośny głos sroki po lesie.

— Co się tam stało? — pytają jedne drugich niespokojne ptaszki. — Głos sroki nie nam dobrego nie zwiastuje; może gdzie jastrzębia dojrzała?

Obejrzą się ptaki w około siebie, listkami poprzykrywały gniazdka i przysłuchują się bacznie.

— Cze-cze-cze! pięknego macie ulubieńca, — rzeczywiście przed całym światem możecie się pochwalić! — posłyszano zdaleka głos sroki.

— O jakim ulubieńcu mówisz? — pyta kraska.

— O jakim? czy to znacie teraz kogo innego prócz dudka? Czy zważacie na kogo, czy zabawiacie się czemkolwiek innym, jak tym szkaradnym brudasem!

Sroka dawno zazdrościła dudkowi, że tak się nim ptaki zajmują i teraz była bardzo rada, że może o nim coś złego powiedzieć.

— Cóżes tak niedobrego dojrzała w tem miluchnem stworzeniu?

— Dobrze mi, miluchne, brudactwo takie!... wstydzilabym się przyznać do znajomości! Rano oblatuję sobie las w około, zaglądam w rozmaite gniazda...

— Bardzo ci to było potrzebne — wtrąciła kraska.

— Wtem czuję jakiś przykry zapach. Dziwię się skąd się wziął, bo chyba w lesie śmietników nie ma. Zbliżam się i cóż widzę?... W obszernej dziupli, w kupie największego brudu siedział wasz dudek ukochany, trochę próchna brudnego pod spodem i to całe jego posłanie było!...

— Może przypadkowo tylko tam usiadł?—spytała sójka.

— Nie broń go, moja droga, bom na własne oczy w tym barłogu widziała pięć jaj niedużych. Sam również nie lepiej wygląda od swego gniazda, brudny, zawalany błotem, jak nieboskie stworzenie. Nie podobna tak lasu naszego zanieczyszczać, trzeba dudka natychmiast wyrzucić!—wołała zaperzona sroka.

— Czekaj na sąsiada, trzeba się dobrze przekonać, czy tak jest w rzeczywiście.

— Zapewne, wy będziecie się Bóg wie dokąd przekonywali, a ja tymczasem muszę te zapachy przyjemne znosić! Cze-cze-cze!...—zaskrzeczała sroka i odleciała.

A ptaszki zaczęły się jednak naradzać i namyślać. Czyby to prawdą było, co sroka mówiła?

Dudek, takie zgrabniuchne ptaszę, miałby być cuchnącym brudasem?

Sroka jednak nie poprzestała na tem.

Posprowadzała do gniazdka dudka mnóstwo ptaków, aby się mogły same przekonać, jakim jest jego gniazdo.

Ptaki opowiadały o wszystkim po powrocie, sąsiadkom, które siedziały na gniazdkach i odlecieć nie mogły.

Wszczął się znowu gwar w lesie, opowiadania i naradzania się nad dudkiem.

Uradziły nareszcie, ażeby przywołać dudka i wysłuchać, jak się będzie sam tłumaczył.

Dudek, nic nie wiedząc o co chodzi, nie dał na siebie długo czekać i nazajutrz stawił się przed sądem.

Znowu zebrało się mnóstwo ptaków, a między niemi najgłośniejszą, jak zawsze, była sroka.

Ona też pierwsza przystąpiła do biednego żenowanego Dudka i najgrzeczniej zaczęła go pytać:

— I cóż ty myślisz, brudasie, czy ci nie wstyd tak zjawić się przed nami?

Dudek obejrzał się, miał rzeczywiście piórka powalane błotem, od którego przykra woń rozchodziła się.

— Ja sam radbym schludniej wyglądać, ale cóż kiedy często na trzęsawiska założyć muszę po żywność, więc wi...

Ale sroka nie dała mu skończyć, gdyż co chwila przerywa każdemu.

— Co tam zawracać nam będziesz głowę! Tyle znam ptaków błotnych, a żaden z nich nie jest takim jak ty niechlujem.

— Podobno gniazdo swoje bardzo nieczysto utrzymujesz? — mówi wilga.

— Brzydko to bardzo! — dodaje sójka.

Dudek łebek zwiesił i wcale się nie tłumaczył, bo to co słyszał, było prawdą.

Długo ptaki jeszcze wypytywały dudka, ażeby wiedzieć dlaczego był taki nieporządny; długo radziły nad nim i nareszcie taki wydały wyrok:

— Przyjacielu, wiesz przecie jak bardzo cię kochamy; ale ponieważ masz tak wielką wadę, że się ani myjesz, ani dbasz o swoje gniazdo, żyć z tobą razem nie możemy: musisz nas porzucić. Na jak długo, sam to będziesz wiedział. Od chwili, kiedy się poprawisz i tak jak my czysto chodzić zaczniesz, możesz znowu wrócić i pozostać z nami.

Przykro było słuchać ptaszkom tego wyroku, żal było patrzeć na zasmuconego dudka, ale musiały zgodzić się na to, co starsze ptaki uradziły.

Sroka tylko coraz głośniej skrzeczała i widocznie bardzo się cieszyła z tego co zaszło.

Dudek smutny odleciał do swego gniazdka, a że już lato było na schyłku i zimne poranki zwiastowały jesień, więc i on za innymi ptakami odleciał do ciepłych krajów.

Czy się poprawił ze swej wady — nie wiadomo, ale już druga wiosna nadchodzi, a dudek do owego lasu nie wraca. Wprawdzie widziano go nieraz na łąkach, do nikogo się jednak nie zbliżał.



Pierwsza robota Kazia.



Kazio codziennie chodził z mamą na przechadzkę, bardzo to lubił; ale co prawda znudziło go chodzenie zawsze po tych samych ulicach i prosił mamę by zaprowadziła go za miasto. Mama nie mogła tak prędko tego uczynić, bo wszędzie jeszcze było dużo śniegu i błota; niepodobna więc było chodzić tam, gdzie bruku nie było.

Nareszcie nadeszła wiosna, słońce zaczęło przygrzewać, stopiło śnieg i osuszyło ziemię.

Wtedy mama rzekła do Kazia:

— Dziś po śniadaniu udamy się na przechadzkę, pójdziemy za miasto.

Słyszac to Kazio, bardzo się cieszył, podskoczył z radości, ucałował mamę, zaczął biegać i skakać po pokoju, śpiewał piosenki jakie umiał i niecierpliwie czekał chwili wyjścia. Wolałby nie jeść śniadania

byleby tylko czempredzej wyjść z domu; ale sam bez mamy pójść nie mógł, musiał więc cierpliwie oczekiwać przy stole i tak się zamyślił, że zamiast soli wziął pieprzu na chleb. Nareszcie mama zaczęła się ubierać, a Kazio tak prędko włożył na siebie ubranie, jak nigdy i wybiegł na ulicę. Cały był rozplomieniony, oczki mu się świeciły, ciągle się uśmiechał, chciałby wszystkim powiedzieć gdzie idzie, ale z nieznanymi nie wypada rozmawiać. Spozstrzegł nareszcie znajomego psa i z daleka do niego zawołał:

— Burku, chodź ze mną, idę za miasto!

Ale pies nie zrozumiał, machnął ogonem i pobiegł dalej. Kazio z mamą szedł długo, minęli aleje, już i bruku nie było. Domki tu były coraz mniejsze, drewniane, a przy nich nie takie chodniki jak w mieście, gdzie nigdzie tylko leżały kamienie narzucane. Spotykał i tutaj dzieci, ale nie były tak ubrane jak dzieci miejskie; były one zaniedbane, obdarte, prawie wszystkie bose. Jedne bawiły niemowlęta, drugie zamiatały podwórza, albo pomagały dorosłym nosić ciężary.

— Zatrzymajmy się mamó — rzekł Kazio — przyjrę się co tu robią.

Gdy przystanął i rozglądał się, posłyszał śpiew z daleka dochodzący.

— Kto to śpiewa, mamó, chodźmy zobaczyć.

Kazio pobiegł naprzód i ujrzał z daleka, jak na ganku siedziała jakaś staruszka i coś splotała, a przy

niej mała dziewczynka zeszywała jakieś kawałki i zwijała je na kłębek. Dziewczynka śpiewała i tak była zajęta robotą, iż nie spostrzegła wcale, jak z mamą swą podeszli do ganku.

— Dzień dobry wam, babuleńko — powiedziała mama Kazia.

— Dzień dobry — odrzekła staruszka.—A kogóż to nam Bóg przyprowadził?

— Jakaś pani z chłopczykiem — szepnęła jej dziewczynka.

— A czy nie widzicie? — zapytała mama Kazia.

— Nie widzę, pani droga, dziesiąty już roczek, jak zaniewidziałam.

— A jakżeż pracujecie? Widzę, że jakiś dywanik wyplatacie — zapytała znowu mama Kazia.

— Jakaż to tam robota moja! Dobrzy ludzie dają mi sukienne kawałki i Marynia, wnuczka moja, porozcina je i pozszywa, a ja przeplatam, przebie-
rając palcami.

— Jakto, nie widząc przeplatacie — zapytał Kazio zdziwiony.

— Mój paniczku — rzekła staruszka — taką robotę każdy na pamięć potrafi zrobić. Cóż to mądrego! Mam tu pocięte sukno, biorę pasek z kłębka i przeplatam: jeden pasek w górę, drugi na dół; jak dojdę do końca, znowu to samo, ot i dywanik pod nogi gotów.

— Czy naprawdę to tak łatwo? A dla kogo robicie te dywaniki.

— Dla kogo? — uśmiechnęła się staruszka — dla każdego kto zechce kupić, bo przecież z tego tylko zarobku żyjemy.

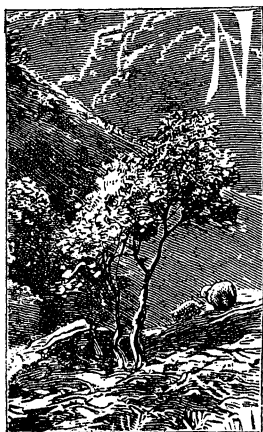
— Moja mamusiu, kup mi dywanik — upraszał Kazio.

Mama uczyniła zadość jego prośbie, potem porozmawiała jeszcze chwilkę ze staruszką i dziewczynką i udała się z synem do domu. Powróciwszy do mieszkania, Kazio chciał się wziąć natychmiast do wyplatania podobnego dywaniku.

— Dobrze, synku — rzekła mama — ale z sukna nie potrzebujesz robić dywaników, masz już jeden, spróbuj upleść z papieru. Nacięła mu kartkę, dała paski do przeplatania i Kazio zaczął pracować, powtarzając ciągle w myśli: jedno w górę, drugie na dół, a jak zapomniał, to szedł i przyglądał się dywanikowi. Po skończeniu roboty przesunął paski, podkleił i miał ładną patarafkę. Darował ją babci na imieniny, a ta ucieszyła się bardzo, że jej mały wnuczek już umie pracować.



BRZOZA.



a skraju dużego lasu stała brzoza, duża, sztywna, niby strażnik lasu pilnujący. Na wiosnę przywdziewała swój strój odświętny; zmieniała zestarzałą i popękana kora na nową, zielone połyskujące jej liście rozwijały się w całej pełni, puszczała nowe pędy.

O, była w tedy wspaniała!

Cień rzucała daleko, woń rozwiewała wkoło, a każdy ją podziwiał. Mało to jednak obchodziło brzozę, co o niej mówiono; nie zważała nawet na to, jak naokoło niej roiły się owady, jak liszki oblażyły jej liście. Spokojnie przyglądała się walce, jaką toczyły ze sobą dokoła różne stworzenia. Raz pajak łapie w sidła muchę, a jego samego porywa jaskółka. To znowu wróbel przyleci i pochwyti

liszkę, a sam czempredzej zmyka przed jastrzębiem. Mało ją też obchodziło, gdy ptaszek upatrzywszy spokojny w jej gałęziach zakątek, siał sobie gniazdko.

Stała zawsze cicha i nieruchoma jakby o nic nie dbała.

Ale razu jednego przyszła jakaś wczesna jesień. Zaczęły brzozie dokuczać zimne poranki a deszcze ciągłe i mgły nie pozwalały listkom się rozgrzać. Wkrótce potem zaczęły one żółknąć i więdnąć. Na domiar złego, zerwał się silny wiatr i począł odrywać liście jedne po drugim.

Widać, że to nareszcie rozgniewało brzozę, bo cienkimi gałązkami zaczęła szybko w różne strony poruszać, głuchy świst wydając, aż w końcu zebrawszy resztki swych suchych liści, cisnęła nimi w uciekającą przed nią zawieruchę.

Walka z zimnem, wiatrem i deszczem jesiennym, wyczerpała ją tak bardzo, że przestała się poruszać i jakby w odrętwieniu stała przez długi przeciąg czasu.

Nastąpiła zima.

Cisza i spokój zapanowały w lesie całym. Drzewa stały jakby uśpione, dźwigając na gałęziach warstwy śniegu. Ale wszystko musi mieć swój koniec.

Przyszły jasne promienie słońka i w jednej chwili zburzyły całą pracę długiej zimy. Wkrótce nie znać było ani śladu śniegu. Wilgoć zbyteczna

wsiąknęła w ziemię, korzenie gwałtownie ją wypijały i las ożył na nowo.

Brzoza też poczuła w żyłach swoich nowe soki ożywiające. Obudziła się z długiego odrętwienia.

Wstrząsnęła gałęziami i wyprostowała każdą, ażeby łatwiej sok mógł przez nie przechodzić, chociaż nie było o co się tak bardzo kłopotać. Sok się dostał do najdrobniejszej gałązki, do każdego nawet pączuszka, który na niej wyrastał.

Z dniem każdym brzoza nabierała więcej sił, z dniem każdym stawała się grubszą, mocniejszą, a czasem nawet zdawało się iż jest tak potężną, że niktby jej złamać nie zdołał.

Razu jednego, niewiadomo skąd przybiegają chłopaki z nożem w ręku, rzucają się na brzozę i nuż w niej świdrować!

Zrobili w drzewie dziurę, wstawili w nią rurkę, a pod rurką umieścili dzbanek gliniany. Poczem wykrzykując i śmiejąc się wesoło, odeszli.

Odczuła to wkrótce brzoza, bo sok tak obficie już do niej nie dopływał.

Chłopcy tymczasem przybiegli znowu nad wieczorem, porwali dzbanek, i zaczęli chciwie wypijać sok, którego przez rurkę dużo z pnia wypłynęło.

Wychyliwszy dzbanek do dna, postawili go znowu na tem samym miejscu. A brzoza tymczasem dostaje coraz mniej pokarmu. Już jej gałązki na wierzchołku więdnąć zaczynają, listki gdzieniegdzie

się tylko pokazują. Czuje, że nie ma w sobie dawnej siły, że słabnie z dniem każdym.

Jęczałaby, gdyby jęczyć mogła, skarżyłaby się przed towarzyszkami, że jej taką krzywdę wyrządzają.

Z dniem każdym coraz więcej gałązek zamierało na brzozie i usychało, aż w końcu i cały pień usechł.

Zdziwili się wieśniacy, zobaczywszy martwą brzozę w lesie. Nie namyślając się długo, podpiłowali ją, jak to robili z wszystkimi suchymi drzewami, ścięli i zawieźli do domu.

Drzewo w domu zawsze się przyda. Rozpiłowano je na deski. Korę wieśniak poodrywał i do garbarza zaniósł. A że brama przy domostwie od dawna się skrzywiła, więc mając deski gotowe, porznął je i począł nową bramę budować.

Po kilku dniach brama była skończona. Sąsiedzi oglądali ją i zręcznego cieślę chwalili. Jednemu tylko cieśla nie mógł zaradzić: przy otwieraniu bramy dawało się słyszeć przeraźliwe skrzypienie, a czasem niby jęki żałosne... Może się brzoza żaliła na łakomych chłopaków, którzy przyczynili się do jej śmierci.



W noe gwiazdkową.



gdzie, tatulu, jedziecie?—pyta mały Stasiak syn Bartosza, wieśniaka.

— Do lasu, po choiny — odpowie ojciec.

— Weźcie i mnie tatulu z sobą—prosił nieśmiało chłopiec.

— E! zmarzniesz jeszcze, robaku! co ci po lesie.

— Nie zmarznę, mój tatulu, mam kozuch i rękawice, co mi babka niedawno zrobiła, a jak zimno nogi ściśnie, to sobie polatam i zaraz się rozgrzeję.

— Ano jedź, jeśli już tak tego pragniesz, pamiętaj tylko, żebyś później nie żałował. Z lasu przecie do domu nie wrócimy, tylko pojedziemy do miasta i tam przez parę dni zostaniemy.

— Aj dobrze tatulu, dobrze, będę z wami w mieście, to mi radość, to wesele!

— Pamiętaj, żebyś mi się dobrze ubrał, bo z mrozem niema żartów!

Do Stasia już dolatywały słowa ojca, gdyż biegł do chałupy, śpiewając i skacząc, po drodze nawet progu nie spostrzegł i przewrócił się, ale na to nie zważał; zerwał się czempredzej i zaczął wkładać ubranie. Wszystko co znalazł, wkładał na siebie: kaftan, chustki, szaliki swoje i nieswoje, i wszelkie szmaty, nawet fartuszek siostry; a ubierając się przemawiał do siebie:

— Włóżę szalik, to mi w szyję ciepło będzie, a ten łachman na uszy, tę znowu chustkę na grzbiet. Oh, jak ciepło!

W końcu tak się poowijał, że tylko nogi i ręce było mu widać.

— A cóż to za poczwara?—pyta matka, wchodząc do izby.

— Matulu! do lasu, a potem do miasta z tatkiem jadę; kazał mi się ciepło ubrać!

Uśmieła się matka, patrząc na niego, podeszła i zaczęła go odwijać ze wszystkich łachmanów. Zapięła mu dobrze kozuch, obwiązała go swoją dużą chustką i pożegnała słowami: „idź z Bogiem!”

Za chwilę chłopiec siedział już z ojcem w sankach.

Śniegu napadało na pół łokcia, sanki mknęły szybko, a chłopiec pogwizdywał sobie i wołał: „Wio, wio, wio... koniku! wio, mój drogi, wio, wio!”

Wjechali w las.

— No, doglądaj mi konia, a ja pójdę drzewo rąbać — rzekł ojciec.

Stach rad, że ojciec do niego przemówił jak do dorosłego, przywiązał konia do drzewa i dał mu garstkę siana.

— A teraz i mnie trzeba brać się do roboty, — powiedział do siebie Staś poważnie.

Robota rzeczywiście była nielada: to ze śniegu bryły lepił; to drzewem wstrząsał, przy czym śnieg, niby pierzem okrył mu kozuch; to szyszki rzucał do góry. Stasiak tak pracował, aż się zmęczył. Wtem doszło go zdaleka wołanie ojca. Biegł w jedną, w drugą stronę, odezwał się parę razy i był już przy nim.

— O jej, co tu drzew naciętych! — wykrzyknął.

— Weź no te małe choiny i ciągnij je na wóz!

Staśkowi nie trzeba było powtarzać dwa razy podobnego zlecenia; już ciągnie, a ojciec za nim wlecze duże drzewa:

— Tatulu, tu cieplej niż w izbie, widzicie jakem się to zgrzał?

— I mnie, kiedym rąbał było ciepło, ale jeszcze zimno nas nie minie, chyba może jakoś pod wieczór zelżeje.

Bartosz poukładał szczerlnie wszystkie choiny na sankach, przewiązał je sznurem, posadził chłopca, sam usiadł przy nim, uderzył biczem konia i pojechał!

— Tatulu, pociście narąbali tyle choin, czy w miastach w piecu niemi palą?...

— Gdzieby zaś tam w piecu palili! dzieciom do zabawy dają.

— To dziwna rzecz—myśli chłopiec—jabym się tam nie umiał nigdy choinami bawić. I jaka to może być zabawa? Drapią się na nią chyba? ale to przecie stać nie umie. Tatuniu, czy oni je w ziemię wkopują?

— Nie, synu, do mieszkania podobno wstawiają; dlatego jak przyjadę do miasta, to zrobię podstawy drewniane, ażeby się choiny trzymały.

Staś nie pytał już o nic więcej, wcisnął się głębiej w choiny, twarz otulił chustką przed mrozem i myślał, ciągle myślał, jak to można się w choiny bawić.

Jak długo jechali, Stasiek nie wiedział, gdyż całą drogą przespał; obudził się wtedy, kiedy już stali przed domem zajezdnym, w dużym mieście.

— No, wstawaj leniuchu, nie mamy dużo czasu do marnowania, spóźniliśmy się! Ogrzejmy się trochę w chałupie i dalej na targ!

Weszli do mieszkania, zjedli stawy ciepłej, z czem się prędko uwinęli i podążyli na targ. Za chwilę już byli na miejscu.

Co tam było na tym targu! Choin — jeno las cały! a około nich ludzie się kręcili, oglądali, obracali drzewka i zabierali do domu.

Bartosz stanął też ze swojemi na uboczu, pościągął je z wozu i wbijał podstawy, a Staśkowi kazał pilnować wozu.

I do nich przyszły jakieś panie, choiny zabierały i tatusiowi dawały za nie pieniądze, ale Stasiak już nie patrzył ani na wóz, ani na choiny, tylko na tłumy ludzi.

— Tatusiu, co tu tak biegają, jeżdżą, czy nie pożar gdzie? Skąd oni lecą wszyscy i co za tłumoki niosą?

— Nie rozumiesz? To święta nadchodzą, więc skupują rozmaite podarunki i zabawki dla dzieci.

Wtem podeszła jakaś pani i zaczęła przyglądać się drzewkom; w rękę miała dużego drewnianego konia i lalkę. Stasiak nie słyszał co tam do ojca mówiła, tylko wciąż patrzył na konia.

— To mi koń, myśli sobie, z nogami, z ogonem, jakby prawdziwy, czy ma grzywę?

Naraz wiatr dorwał papier, w którym koń był owinięty.

— Ma, naprawdę ma — zawołał Stasiak.

— Co ma? — spytała pani, przestraszona krzykiem chłopca.

Staś zawstydzził się, zakrył ręką oczy, zarumienił się po same uszy i coś mruknął.

— Stasiak, żwawo—zawołał ojciec, przestań się krzywić, ot zabierz-no to drzewko i nieś za panią!

W jednej chwili dzieciak zapomniał o kłopotcie, w jaki wprawilo go zapytanie pani i pochwycił małą choinkę.

Idąc koło pani, ciągle spoglądał na paczkę, a wiatr naprzemian odkrywał też grzbiet, to głowę, to nogi konia, tak że go Stach całego zobaczył.

— Ciekawym, jaką też skórę ma ten koń; żeby go się to choć dotknąć!

Tymczasem pani już weszła do bramy i Stasiak za nią wniósł choinkę do pokoju. Z powrotem iść mu było lekko, więc wkrótce przybiegł zdyszany do ojca.

— Tatusiu, nie wiecie, jak to się bawić będą z naszą choiną? Bardzo ciekawy!

Chłop nic nie odrzekł.

Staś podskoczył parę razy; jeździł z ojcem do miasta, ale tak wiele ludzi na ulicy nigdy nie widział.

Nastał zmrok, potem wieczór, choin na targu już prawie nie było. Bartosz też swoje wszystkie sprzedał i zabierał się do domu.

— Tatusiu, pozwólcie mi pogapić się na okna, chcę się przyjrzyć, jak to w choiny dzieci pańskie bawić się będą. Niezadługo wrócę.

— A no idź sobie, tylko rychło wracaj, mroz tęgi bierze, jeszcze uszy odmózisz sobie.

— Nie tatusiu, nic im się nie stanie, tak będę tarł, że mię palić będą.

Bartosz zrobił chłopcu parę uwag, kazał wrócić zaraz w to samo miejsce, a sam poszedł kupić soli i okrasę dla swego domu.

Malec tymczasem popędził w tę samą stronę, w którą rano niósł choinę.

— Zobaczę — powiada — co tam z moją choiną robić będą.

W oknach kamienicy coraz więcej pokazywało się światła. coraz było widniej, ale Staś nie mógł nic dojrzyć, okna były za wysoko dla niego.

Nareszcie zbliżył się do znajomego parterowego domku, gdzie zostawił choinę. Widzi, że i tu bardzo jasno w oknie.

Wdrapał się na mur, uczepił o blaszaną ramę okna i patrzy:

Co tu pyszności! Choina jego stała pośrodku, ale nie była podobna do choiny w lesie: pełno było na niej światełek, pełno złotych papierków i orzeszków. Jakieś nici srebrne zwieszały się, jeszcze coś i jeszcze... czyż można wszystko wyliczyć?

W koło biegały dzieci bardzo ładnie ubrane. Każde z nich miało po kilka zabawek w ręku.

— Żebym to ja miał choć jedną! żeby tego konia, albo wózek, choćby tego koguta!... lalkę, tobym Baśce oddał.

Tak mówił Staś do siebie.

— A jak one się bawią i tańczują!

Patrzy się Staś i dziwi się.

A mróz mu nóżęta szczypie, palców w ręczynie poruszyć nie może, bo go bolą bardzo. Zimno okrutnie, ale żal mu odejść.

Widzi znowu, że wchodzi do sali pani za którą przyniósł drzewko, i trzyma w ręku dwa pudełka pełne zabawek.

W jednym była lalka, w drugim strzelba, trąbka i mnóstwo innych rzeczy.

Pani postawiła na ziemi lalkę i ta zaczęła chodzić jak żywa.

Ździwił się Staś i roześmiał się, bo jeszcze nigdy takiej lalki nie widział.

— Toby się Baśka ubawiła, żeby widziała! A jaka strzelba ładna, ciekawym, czy prawdziwa.

Wtem chłopczyk, który ją dostał, wystrzelił, a tak głośno, że Staś z ulicy posłyszał.

— Prawdziwa!—zawołał chłopczyk i chciał się zbliżyć do szyby, ażeby się przyjrzeć tej ładnej zabawce, ale ręce tak mu zesztyniały, że się utrzymać nie mógł i osunął się na ziemię.

Chciał wstać, lecz nie mógł nogami poruszyć.

— Odpocznę trochę, myśli sobie i pójdę, bo ojciec czeka.

Skurczył się, oparł głowę o mur i zaczął w ręce chuchać. Powoli robiło mu się milej i cieplej, powieki zaczęły się przymykać, myślał o strzelbie, o lalce chodzącej, myślał... i zaczął drzemać.

Naraz widzi, że dzieci zbliżają się do niego, zapraszają do pokoju, pokazują zabawki i każde mu coś daje. Chłopczyk daje mu konika, dziewczynka wózek. Staś bierze, dziękuje, chce wychodzić, ale dzieci go zaczynają częstować, dziękują mu za ładną

choinkę, proszą by się bawił z niemi, jak inne dzieci. Staś przygląda się, uśmiecha się i nie wierzy, że i on może być tak szczęśliwy.

Tymczasem Bartosz, widząc że syn długo nie wraca, poszedł go szukać. Długo chodził po mieście, pytał przechodniów, ale wszystko daremnie.

Nad ranem dopiero znalazł Staśka swego oparłego o mur kamienicy, ale prawie nawpół nieżywego.

Przemarzył Stasiek bardzo; gdyby się ojciec o pół godziny spóźnił, kto wie co by się było stało...



Co Zosia robiła w lecie.



a początku lata rodzice Zosi wyjeżdżają zwykle na letniemieszkanie. Pakowania, sprzątania, zamieszania w domu jest niemało. Zosia również jest zajęta i zakłopotana: do dużego pudła układa swoje lalki, zabawki, bo jakże miałyby je zostawić? Lal-

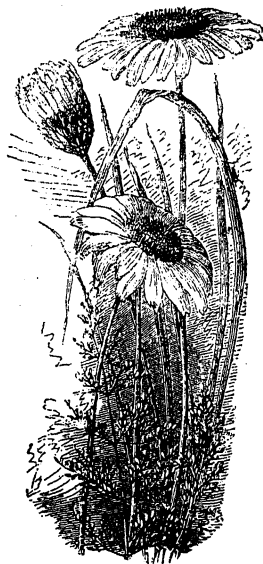
ka zanudziłaby się bez niej, a bez zabawek Zosia nie obeszłaby się.

Jednak tego lata jakoś Zosia nie zabiera się do pakowania. Na lalkę jest jakby zagniewaną, nic do niej nie mówi, nawet nie patrzy; wsadziła ją do szafki i zamknęła na kluczyk; inne zabawki pokładła do komódki. Pozabierała tylko wszystkie bibuły, któ-

re miała w kajetach, powyciągała stare kuryery, włożyła je do dużego kufra. Na tem przygotowaniu do odjazdu zeszedł prędko wieczór, a następnego rana już wszyscy wyruszyli w drogę.

Parę stacyi koleją nie długo jechać trzeba było i ani Zosia spostrzegła, gdy przybyła na miejsce.

— Co przyjemności, co niespodzianek spotkało tu dziewczynkę. Przy ganku duży krzak jaśminu, w ogródku pełno kwiatów, łąki usiane ziołami, staw w bliskości. O, cóż za rozkoszne spędzenie czasu!



Zosia zajrzała natychmiast w każdy kącik, powitała służbę, starego Macieja lokaja, ochmistrzynię i poszła do ogródka. Tam spotkała ogrodnika, pozdrowiła go i opowiedziała mu, jak wygląda Warszawa w lecie.

— Mój panie—prosi Zosia ogrodnika—proszę mi upiłować dwie deseczki nieduże, takiej wielkości, jaką jest okładka kajetu.

— Dobrze, proszę Zosi, ale na cóż to jej potrzebne?—czy to mają być zabawki jakie nowe?

— Niby zabawka—odpowie Zosia, kręcąc główką—niby nie! Deseczki potrzebne mi do zasuszenia kwiatów, tylko najpierw w nich dziurki prześwi-druję.

— Toż przecie łatwiej mnie jest świdrem dziurę wykręcić, niż Zosi jej małemi paluszkami.

— A dobrze, dziękuję panu bardzo!—ukłoniła się dziewczynka i poszła dalej.

Drugiego dnia Zosia znalazła deseczki już u siebie na stole. Natychmiast wypakowała z kufra zabraną bibułę i gazety, pocięła na ćwiartki i włożyła pomiędzy deseczki. Zrobiwszy to, pobiegła do ogródka, zerwała kilka kwitnących bratków i włożyła w bibułę, która leżała pomiędzy deseczkami; deseczki potem ściągnęła małemi rzemyczkami i zawiesiła w otwartem oknie.

Deseczki wisiały dzień, drugi, Zosia nie zaglądała, nieruszała ich wcale. Wiatr tymczasem przechodził przez dziurki i powoli wysuszał kwiatki.

Nareszcie przyszła Zosia, zdjęła deseczki, rozwinęła bibułę i wyjęła ztamtąd kilka bratków ładnie zasuszonych, a na ich miejsce włożyła teraz rozmaitej trawy i liści.

— Dziwna rzecz—mówiła Zosia do siebie—dawniej zdawało mi się, że na całej łące jest trawa jednokowa, a dziś jakem zaczęła zbierać, to w jednym miejscu znalazłam kilkanaście gatunków.

Znowu poukładała Zosia porządnie trawkę w bibułę, wyprostowała listki, ścisnęła je mocno deseczkami, obwiązała i zawiesiła na kilka dni.

Nie zawsze jednak i na wsi ładnie było: zaczął deszcz padać i słota była na dworze. Zosi jednak nie przykryzło się; usiadła przy stoliku, przebierała swoje kwiatki i listki zasuszone i zaczęła gumą przyklejać do papieru listowego. Ozdobiła róg papieru ładnym bukiecikiem; taki sam bukiecik przyklepiła do koperty i zniosła mamie.

Bardzo się mamie taka robota podobała; dała córeczce parę arkuszy papieru i prosiła o naklejenie kwiatków. Zosia bardzo była rada, że się mamie na coś przydała i jeszcze więcej się starać zaczęła.

Następnie wycięła z tektury zakładkę i nakleiła temi samemi kwiatkami. Robota się udała i Zosia darowała ją tatusiowi na zakładkę do książki.

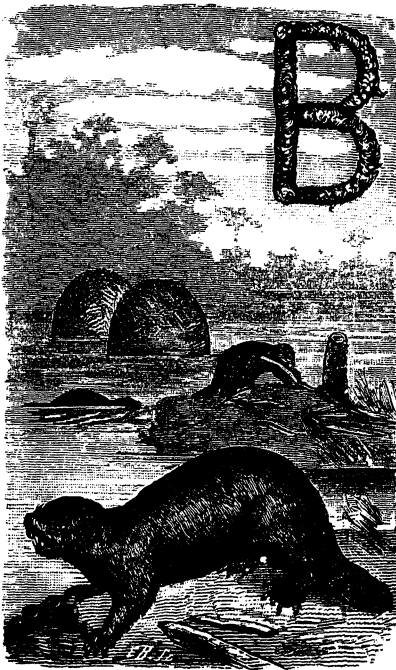
Później wykleiła święty obrazek dla Małgosi służącej, dla pana ogrodnika ułożyła z kwiatków prześliczny obrazek. Pan ogrodnik też patrzył się i nie wierzył, żeby to mała Zosia takie ładne rzeczy robić potrafiła; sądził że ona w Warszawie tego się

nauczyła; ale Zosi nikt nie uczył, sama te rzeczy wymyśliła.

Wszyscy bardzo dziękowali dziewczynce za pamiątki, a Zosi coraz weselej było. Sama się dziwiła, że najprzyjemniej jej było, jeśli mogła komu co ofiarować.



BOBRY.



yl dzień zimny, chociaż słońce świeciło. Śnieg błyszczał srebrzysto i skrzypiał pod nogami. Dwaj chłopcy, Staś i Adaś, stali przy oknie i przyglądali się z zajęciem, jak ludzie otuleni w futra biegli pośpiesznie ulicą.

— Tej pani to ciepło, bo ma lisy na sobie — mówił Adaś.

— Ale zawsze nie tak ciepło, jak temu pa-

nu, co z nią idzie, bo ma bobry na sobie — odpowie Staś.

— Alboż bobry cieplejsze?

— Ma się rozumieć, bóbr w zimie nawet w wodzie nie marznie.

— W wodzie? co też ty mówisz! Zwierzęta takie miałyby nory w wodzie.

— O, jakie! z daleka wyglądają, jakby się stogi siana z wody wynurzały; ja się też dziwiłem, gdy mi ojciec opowiadał o ich życiu.

Bobry budują domy pośrodku stawu lub rzeki na mieliźnie, robią je z kawałków drzewa i drobnych gałązek, a wszystkie szpary zatykają gliną i szlamem.

Wewnątrz urządzą budynek bardzo porządnie. Jest w nim jeden pokój duży, gdzie siedzi sam bóbr; i parę mniejszych pokoi przeznaczonych na śpizarki. W nich nagromadzone są zapasy. Mieszkania całe wysypane są piaskiem lub drobnymi kamykami.

Z budynku wychodzi długie przejście podziemne, otwór tego przejścia jest dobrze ukryty pod wodą.

— Mój kochany — pyta zdziwiony Adaś — zkadże one biorą drzewo i gałęzie na budowę?

— Wychodzą na brzeg i obłamują gałęzie z krzaków, a czasem przegryzają pień u spodu dopóty, dopóki ten się nie powali. Wtedy obłamują części drzewa, ciągną zębami do wody, zrzucają je i sprowadzają tam gdzie potrzeba.

— To one nam szkody wyrządzają — mówi Staś.

— O, toby jeszcze małe były szkody, gdyby psuły tylko tyle drzewa ile do budynków potrzebują. Ale lubią bardzo ogryzać korę drzew młodych, obcinać pędy roślin, pąki drzew; wszystko to bowiem stanowi ich pożywienie. Szczególnie dużo szkody wyrządzają w jesieni, kiedy zbierają zapasy na zimę.

Wtedy nielitościwie obdzierają z kory ulubione przez siebie drzewa, jak: wierzby, topole i jesiony, i ściągają je do mieszkania swego.

— A dlaczego bobry stawiają domy nie w lesie, tylko na wodzie? — pyta Staś.

— Bo są bardzo lękliwe, najwięcej boją się o swoje dzieci, żeby im kto nie porwał. W wodzie zaś są nierównie bezpieczniejsze. Chociaż i tu mają swoich strażników bobrów, dających im znać o niebezpieczeństwie.

— A czy dobrze pływają?

— Wybornie — bo palce tylnych nóg mają spięte błoną.

— Ludzie powinnyby tępić tych szkodników.

— To też i tępią. Chociaż o ile bobry za życia szkodzą lasom naszym, o tyle po śmierci są ludziom bardzo użyteczne.

Dają nam najlepsze i najcieplejsze futro ciemno-brunatne.

— Czy to ładne zwierzę?

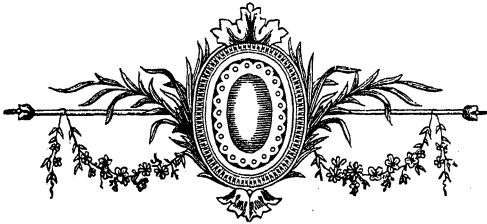
— O nie: brzydkie i niezgrabne, głowę ma dużą, tułów szeroki, szyję krótką i grubą; a ogon nie-

słychanie dziwny: bo jest długi i pokryty nie sierścią, jak całe ciało, tylko łuskami.

Bóbr pływając posługuje się ogonem niby sterem.

Zresztą dość opowiadania, wolę ci pokazać obrazek.

Staś z ciekawością chwycił obrazek i zaczął się przyglądać bobrom.



DLACZEGO DZIĘCIOŁ WCIĄŻ KUJE?

Dziwny ptak jest z tego dzięcioła — od rana do nocy wciąż kuje i kuje.

Inne ptaki przez lato śpiewają, za żerem latają, gniazda ścielą; dzięcioł sobie tem głowy nie zaprzęta i tylko kuje a kuje.

Na jesieni ptaszki zwołują jeden drugiego do odlotu; przez kilka dni zbierają się w jednym miejscu, gwarzą, odlatują, znowu wracają, zanim całą gromadą puszcza się w daleką podróż.

Dzięcioł tymczasem spokojnie zostaje w tym samym lesie i kuje w najlepsze.

Niektóre ptaszki pozostają na zimę, ale nie mało też mają kłopotu i trudu w znalezieniu pożywienia.

Dzięcioł zarówno w zimie jak w lecie, bez żadnego kłopotu znajdzie dosyć robaków pod korą

kuje tylko z całej siły w drzewo, a kuje tak głośno, że się echo po całym lesie rozlega.

Dlaczegoż dzięcioł tak zawzięcie kuje?

Bo z niego smakosz wielki.

Inny ptak zadowolni się muszką, albo liszką jedną; dzięcioł nasz lubi różnorodność: raz pożywi się robaczkami, drugi raz nasionami z szyszki, a na jesieni i orzeszki mu bardzo smakują.



Ażeby wydostać robaki z pod kory, musi najpierw ją rozdziobać, gdyż wtedy dopiero językiem wybierze owady. A ziarenka z szyszek jeszcze trudniej dostać! Trzeba najpierw wykuć w drzewie dziurę, osadzić w niej szyszkę i wyszukiwać ziarenko po ziarenku. Śniadanie też z orzechów nie zdobywa się bez kucia. Przysmak ten niemało trudu

kosztuje: kuje dzięcioł w drzewie, t. j. w gałęzi, dołek, wsuwa w niego orzech, a wtedy rozpoczyna się kucie na dobre, dopóki orzecha nie rozłupie i do jąderka się nie dostanie.

Nie dość na tem: dzięcioł i mieszkanie musi dla siebie wykuwać; w dziupli sosny, albo innego jakiego drzewa wykuwa sobie gniazdo, a chociaż wybiera tylko drzewa spróchniałe, nie mało jednak się namozoli.

Cóż więc dziwnego, że dzięcioł całemi dniami kuje. Ma on dziób mocny i duży, więc mu się tak prędko nie stępi.

Przytem palce ma też wygodne, pazury duże, ogon twardy i długi, mocno więc siedzi na drzewie, opierając się na ogonie, jakby na trzeciej nodze.

Człowiek nic złego nie robi dzięciołowi, bo mu ten ptak szkodliwe robactwo z drzewa wyjada.

Odważnie więc nieraz dzięcioł przylatuje do ogrodu i po swojemu kuje w drzewach.



Ż m i j a.



otwornem stworzeniem była żmija, potworem była z wyglądu i usposobienia.

Nie znać było na niej ani tułowia, ani nóg, ani szyi; zdawało się, że tylko głowę ma i ogon.

Pełzała po ziemi i wykręcała się na wszystkie strony, a ten widok tak przerażał zwierzęta w lesie, że przy spotkaniu jej stawały nieruchome, jakby do miejsca przykute.

Obojętna była na męczarnie, jakie zadawała

zwierzętom małym; nie wahała się porywać pisklęta z gniazd ptasich. O sobie tylko myślała.

Wypatrzy gdzie jaszczurki przebywają, gdzie żaby siedzą, gdzie jaki ślimak pełza, i czatuje na ofiary.

Może kto myśli, że żmija toczy jaką walkę z niemi? Bynajmniej.

Ma ona jeden oręż, którym pokonać może każdego.

Orężem tym są jej dwa duże zęby, pod którymi leżą małe pęcherzyki z jadem. Żmija kęsając przyciska pęcherzyk z płynem i wtedy jad po dużym zębie wpada wprost do rany. Potwór ten chwytając małe stworzenie, ukąsi je raz jeden mocno i puszcza, walczyć więc nie ma potrzeby.

Zwierzątko ranione próbuje uciekać, ale wkrótce siły je opuszczają, zatrzymuje się, dostaje konwulsyj i w najstraszliwszych mękach umiera.

Żmija spokojnie przygląda się temu, cierpliwie czeka końca; porywa nieżywe już stworzenie i połyka je w całości.

Gdyby zabijała dlatego tylko, żeby się sama mogła niemi używić, któżby jej mógł mieć za złe? przecie i żmija musi się czemś odżywiać, ale często kąsa ona bez żadnej przyczyny. Taki już jej nałóg.

Raz pewien wiejski chłopak zbierał jagody w lesie. Długo biedak mordował się nim nazbierał koszyk; a że do domu było daleko, więc usiadł sobie na ziemi i zasnął.

Żmija tymczasem wypełzła z pod krzaka, zbliżyła się do chłopca i zapuściła w bosą nogę jego jadowite swoje zęby.

Zerwał się chłopczyzna, poczuwszy straszny ból u nogi i odgadł, kto tu być musiał, choć żmija natychmiast się skryła.

Pobiegł czempredzej do domu, a tu ból coraz bardziej mu dokucza; noga puchnąc zaczęła, ledwie się dowłókł do chałupy.

Ojciec bardzo się zmartwił. Trzeba było jaknajprędzej chłopca ratować.

Wieśniacy, rzecz wiadoma, doktora wzywać nie zawsze mogą; bo zadaleko mieszka i bardzo jest zajęty; więc najczęściej sami radzą, jak umieją.

Wziął tedy ojciec pręt żelazny, rozpalił go do czerwoności i przyłożył do rany.

Okropny to był ból. Chłopiec chociaż cierpliwym, nie mógł się od łez powstrzymać; jak groch duże spadały mu z oczu.

Jęczał, drżał cały z bólu. Nie bronił się jednak bo wiedział, że ten środek może go uchronić od śmierci.

Pozwolił więc ojcu przypalać tak długo, jak tego była potrzeba.

— Szkaradne stworzenie! — mówił wieśniak — obwiązując nogę synowi — czyż to raz człowiek przez nie cierpiał! I uśmiercić się nie daje!

Onegdaj wracam z pola. Patrę, przedemną zmyka żmija. Jak jej nie rąbnę kosą, rozpadła się na dwie części. Dobrze ci tak, myślę, nie będziesz nam dokuczać; a ona, jak się nie uwinie, smyk pod krzak, choć jej tylko połowa była!

Żmija na dobre w lesie gospodarowała. Zdało się, że końca jej panowania nie będzie.

— Przed jeżem—myśli sobie—ucieknę; przed ptakiem ukryję się, przed zimnem i śniegiem tak się zagrzebię w liście głęboko, a zasnę tak mocno, że największego mrozu nie pocuję.

Kiedy tak rozmyślała, przed nią stanęła żaba. Żmija podnosi głowę i w jednej chwili zadaje cios śmiertelny małemu stworzeniu. Nie długo czekając! porywa ją za tylne łapy i pochłania.

Żaba nateża siły, ażeby się wydostać, ale trudno: tylne nogi daleko już ugręzły w paszczy potwora.

Żaba piszczy, usiłuje łapkami przedniemi ucześcić się o jaki przedmiot, napróżno: ciało jej zasuwają się co raz dalej, co raz dalej, a w końcu i głowa znika.

Pochłonęła żmija żabę, ale ta była gruba, grubsza niż sama żmija.

Choć skóra żmii jest elastyczną i może się rozciągnąć, pastwa taka jednak z trudnością przechodzi do żołądka.

W tem spostrzega z daleka bociana. O! to jej największy nieprzyjaciel. Nie lubi go żmija, chce się ukryć, ale sił jej zabrakło.

— Klap-klap — woła bocian uradowany, spada na ziemię, porywa ubezwładnioną żmiję i niesie dzieciom na śniadanie.



CIEKAWOŚĆ.

Byla sobie raz mała dziewczynka, nazywała się Jadzia. Miała włoski białe, oczka niebieskie. Zwinna, zręczna, była bardzo miłym dzieckiem. Nikogo nigdy nie skrzywdziła, nikomu nie dokuczała, kochała rodziców bardzo i swoją niańkę, starą Pawłową.

Jednak martwili się rodzice myślą o Jadzi, nie-raz i niańka w cichości łzę ocierała, myśląc, że Jadzia już się nigdy nie poprawi.

Czegóż się tak oni martwili?

Był to sekret. Nikt nie wiedział prócz domowych, jaką brzydką wadę miała Jadzia. Była to wielka ciekawska i wścibska. Nic nie zdołało się ukryć przed jej oczami: w każdy kącik wlezie, wszędzie się wtrąci, wszystko musi zobaczyć. Czy to mama co schowa, czy kto z obcych co przyniesie, Jadzia wytrzymać nie może, natychmiast biegnie, rozwija

i ogląda. Nawet ciekawą była, co kucharka z miasta przyniosła.

Co się mama nagniewała, co nie naperswadowała! Jadzia niby żałuje, przeprasza, ale za chwilę do tego sanego wraca.

Razu jednego widzi Jadzia, że w szafie na półce coś jest w słoiku. Wzięła ją ciekawość dowiedzieć się, co tam być mogło. Przystawia stółek, wchodzi na niego, chce słoik podnieść, ale był zaciężki. Wsuwa więc dziewczeczka paluszek, sądząc że to smaczna galaretka, a tymczasem była to smoła.

Jadzia wyciąga paluszek, kładzie go na język... A pfe! jakie brzydkie! Czempredziej biegnie zmyć, a tu smoła tak się uczepiła, że nawet z mydłem nie odchodzi. Musiała tak przez kilka dni chodzić z poplamioną ręką. W domu wszyscy domyślili się wszystkiego.

Innym razem miała jeszcze gorszy wypadek. Służąca przyniosła kosz z miasta, postawiła go pod stołem, a sama poszła do sklepiku po drzewo. Jadzia, gdy nikogo nie było w kuchni, nuż do kosza zaglądać. Wsuwa rękę pod wieczko, aż tu cap! coś ją chwyta za palec. Jadzia rączkę wysuwa, a tu duży rak uczepił się jej kleszczami! Zaczyna więc krzyczeć, płakać, rączką trzepie, rzuca się na wszystkie strony—nic nie pomogło. Nareszcie przyszła służąca i oswobodziła dziewczynkę od napaści raka. Długo jeszcze Jadzia płakała, więcej ze stra-

chu niż z bólu, ale nikt jej nie żałował, gdyż sama sobie była winna.

To jednak trochę poskutkowało; przez kilka dni Jadzia zachowywała się zupełnie dobrze.

Widząc to mama, przywołała córeczkę do siebie i tak jej powiada:

— Moja Jadziu, oddawna chciałam cię zawieźć do babci, ale bałam się, żebyś nie wyrządziła jej przykrości. Babcia nie znosi, aby kto po jej rzeczach szperał, a ty właśnie masz to szkaradne przyzwyczajenie.

Jadzia zapewniała mamę, że się zupełnie poprawiła, że się niczego u babci nie dotknie i prosiła na wszystko, żeby ją matka zabrała z sobą.

Nad rankiem drugiego dnia, Jadzia jechała już z mamą wygodnym powozem do babci. Kilka mil prędko im przeszło i ku wieczorowi stały już przy pięknym domku. Babcia serdecznie je przywitała, spytała jak się Jadzia sprawuje, a dowiedziawszy się, że jest zupełnie grzeczną, wzięła ją na kolana i długo pieściła.

Wesoło było tu bardzo. Przy domu był ogród, a w nim pełno kwiatów, huśtawka, łódka, łąbędzie, słowem ubawić się i napatrzeć było na co. Ani spostrzegła Jadzia, jak kilka dni minęło i trzeba było szykować się do odjazdu.

Babcia widząc, że jej wnuczka tak wesoło się bawi i tak jest posłuszna i greczna, uprosiła mamę, aby zostawiła ją u niej na kilka dni.

Mama przystała chętnie i wkrótce odjechała.

Babcia wzięła za rękę Jadzię i poprowadziła do drugiego pokoju. Tu stanęła z nią przy dużej szafie.

— Widzisz, Jadziu, co tu jest?

— O widzę—droga babciu—widzę!—tu lalka, tak pięknie ubrana, a tu pajac, tam wózek i piłka. Moja babciu, dla kogo te wszystkie zabawki?

— Dla ciebie, moje dziecko; wszystko to otrzymasz wtedy, gdy się przekonam że nigdy nic nie poruszysz, co do ciebie nie należy i zawsze we wszystkim słuchać mnie będziesz.

— Dobrze, dobrze, babciu moja złota—krzyknęła Jadzia, całując rączki babci...

— Zobaczmy: chciałabym, żebyś jak najprędzej to wszystko dostać mogła!

Dnie mijały szybko. Jadzia codziennie odnajdywała jakieś nowe przyjemności, a kiedy niekiedy myślała o tych zabawkach, co w szafie stoją.

Pewnego wieczora babcia wyszła na wizytę i Jadzia została sama; usiadła na fotelu w pokoju babci i patrzyła na szafę z zabawkami.

— Może jutro dostanę te zabawki—mówiła do siebie Jadzia—babcia powiedziała mi wczoraj, że niedługo to nastąpi! A może jeszcze dziś w wieczór, gdy babcia wróci z wizyty. Ah! czemu to babcia tak długo nie przychodzi? Jak wróci weźmie klucz, zawoła na mnie i powie: „Jadziu, byłaś grze-

czną i teraz zabawki będą twoje własne. Tyle zabawek! żeby to prędzej przyszła babcia!

Co chwila Jadzia podchodziła do okna, to do jednego, to do drugiego, ale babci nie było.

Nudziło jej się wreszcie, wstała i zaczęła się rozglądać po pokoju. Podeszła do stolika, na którym ustawione były rozmaite ozdobne pudełka. Otworzyła jedno: były szpilki w niem, w drugim guziki—i kolejno zaczęła otwierać wszystkie. Wtem widzi że na komodzie stoi jakieś duże pudło porcelanowe.

Zdziwił ją ten nowy przedmiot, bo dawniej go nie spostrzegła.

— Co w takim ładnym pudełku babcia przechowuje? Może karmelki dla mnie? może jakie kwiaty? a może jaki prezent dla mnie? Zobaczę... Nie wezmę nic z niego i babcia o niczem się nie dowie. Nawet służącej niema, nikt nie zobaczy!

I nie myśląc długo, Jadzia przystawiła krzeselko, weszła na nie i obejrzała się w koło.

— Jutro może i to pudło dostanę od babci—myśli sobie Jadzia—dla czegożbym dziś nie miała zobaczyć, co w niem jest takiego?

Cichutko podnosi wieczko...

Wtem — smyk! Biała myszka wyskoczyła jej z pod ręki i pobiegła prędko w głąb pokoju.

Jadzia struchlała. Stała nieruchoma. Nie wiedziała co ma począć. Zaczęła wreszcie płakać, chciała czekać na babcię, opowiedzieć jej co zaszło,

przeprosić, ale babcia długo nie wracała i Jadzia musiała iść spać.

Nad ranem jeszcze słońko nisko było, gdy się Jadzia obudziła. Przypomniała sobie co zaszło, a w tem przychodzi służąca i mówi:

— Niech panienska wstaje prędzej i ubiera się, bo konie już czekają. Pani starsza nie chce już więcej widzieć panienki u siebie i prosiła, żebym odwiozła panienkę do domu.

— O, ja nieszczęśliwa!—wołała Jadzia—to już wszystko babci wiadomo!—i głośno zaczęła płakać.

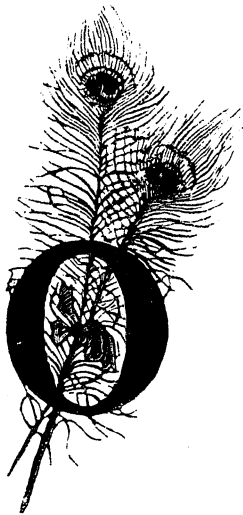
Służąca surowym głosem powtórzyła jej rozkaz pani, i Jadzia musiała się ubierać. Babcia była tak zagniewaną, że nawet pożegnać się z nią nie chciała.

Smutno było wracać Jadzi do domu, a jeszcze smutniej przed mamą się pokazać.

Ale od tej pory Jadzia naprawdę poprawiła się zupełnie.

Babcia, dowiedziawszy się o tem, przebaczyła jej nieposłuszeństwo i była bardzo wdzięczną białej myszce, że wyleczyła jej wnuczkę z tak brzydkiej wady.





Przebiegłe wilki.

gromne szkody wyrządzały wilki w całej okolicy.

Jednemu gospodarzowi zjadły wołu, drugiemu konia; a ile owiec, świń i kóz, policzyć trudno. Z początku myślano, że młody pastuch źle pilnuje, wysłano więc starszego, ale bydło wciąż ginęło i ginęło, ani pastuch, ani pies poradzić sobie nie mogli.

A drapieżniki te rozmaitych tymczasem używały przebiegów.

Zawczasu się umawiały i wychodziły z lasu. Wilk krył się za krzakiem, a wilczyca szła na łąkę do stada. Pies widząc nieprzyjaciela, odpędza go gniewnie; po chwili wilk znowu się zjawia. Pies powtórnie odpędza; wilczyca jednak nie przestaje na cierać i ponownie się zbliża.

Pies w końcu zniecierpliwiony, zaczyna ścigać zwierza tak zawzięcie, że zapędza go w głąb lasu. A tymczasem wilk wyskakuje z poza krzaku i porywa sobie najlepszą zdobycz.

Wilczyca przestaje już zwodzić, odnajduje niebawem wilka i oboje dzielią się łupem.

Pewnego poranku, a było to w zimie, rozniosła



się straszna wieść: wilki dziecko ze wsi porwały. Tego już było za wiele.

Uwzięli się wieśniacy i postanowili użyć wszystkich sił, aby wytepić wilki w całej okolicy.

Kilku śmielszych ludzi poszło natychmiast ze strzelbami do lasu. Niedługo jednak wrócili.

— No cóż? — pytali ich inni — cóżeście tak prędko przyszedli?

— Bo z wilkami niema żartów. Jest ich tam

więcej niż sto w lesie; trzymają się razem. Trudna z niemi sprawa!

Jeden chwytą zdobycz, drugi powala ją na ziemię, a cała gromada rzuca się wtedy na nią i rozrywa. Kilku nawet ludzi im nie podoła.

Zaczęli więc naradzać się między sobą wieśniacy. Wkońcu wykopali w lesie kilka głębokich dołów, wrzucili w nie mięso i nakryli suchymi gałęziami, a następnie uzbrojeni w strzelby wyszli na łowy. Jakoż w dołach zabili kilka wilków, które tam wpadły znęcone wonią mięsa.

Wypocząwszy parę dni, myśliwi znowu się wybrali do lasu, ale wilków już nie spotkali.

Domyśliły się widać, że im ludzie zemstę po-przysięgli i przeszły do innego lasu.

We wsi zapanował znowu błogi spokój.



Opowiadanie komara.

Urodziłem się w stawie dużego ogrodu; spora gromadka pływała nas razem. Wesolo było i rażno!

Nie dziwcie się moi drodzy, że przebywałem w wodzie.

Nie takim byłem jakim jestem: byłem długim pędrakiem, bez skrzydeł, bez nóg, a jednak dobrze mi było z tem wszystkim.

To sobie na wierzch wody wypłynę, to na dno samo się zanurzę, to znowu gonię się od rana do nocy z mymi towarzyszami.

Po takim lataniu apetyt mieliśmy znakomity.

Wtedy urządzaliśmy sobie ucztę wspaniałą. Na pierwsze danie mieliśmy muł ze stawu; na drugie rośliny wodne; na trzecie drobne zwierzątka, które w koło nas pływały.

Nie pamiętam, jak długo byłem pędrakiem, ale po pewnym czasie, zauważyłem na sobie i na moich towarzyszach wielkie zmiany: na głowie utworzył nam się pancerz; ciało nasze się skuliło—przekształciliśmy się w poczwarki.

Widać żeśmy się bardzo ludziom podobali, bo jeden uczony nawet fotografował nas w takim stanie.

Przedstawiam tu swoją podobiznę.

Będąc poczwarką przestałem się ruszać, pokarmu nawet nie spożywałem; jakby senny płynąłem gdzie mnie woda niosła.

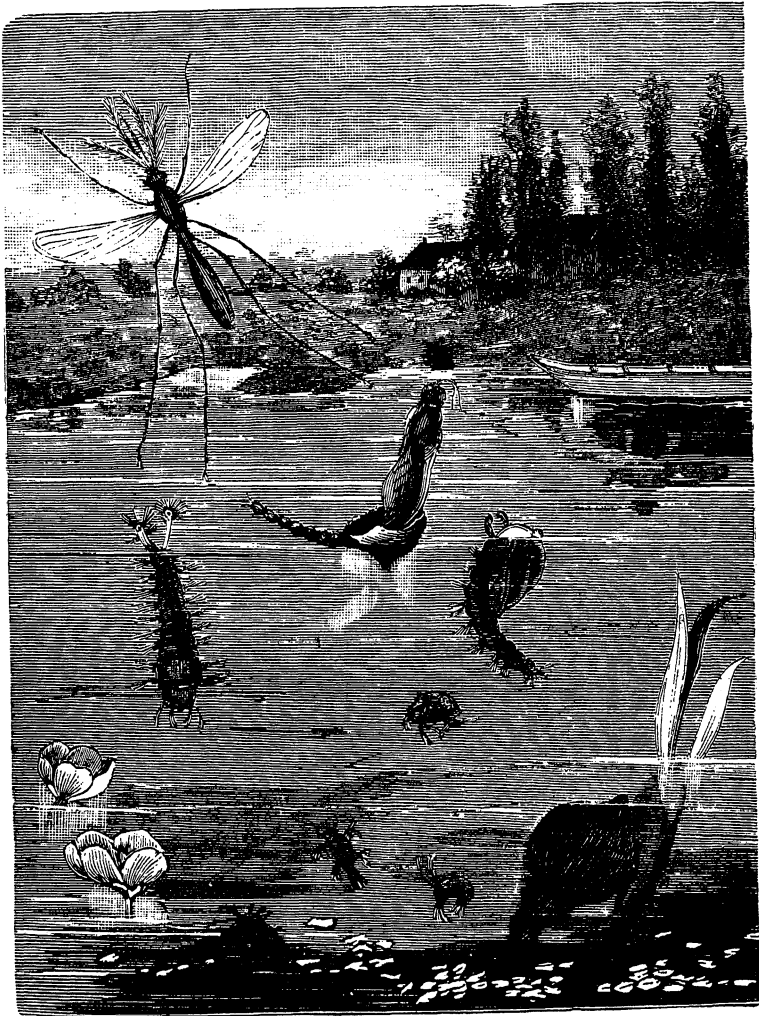
Tak drzemiąc w zamknięciu, czuję że mi skrzydełka odrastają, że mi sześć nówek się uformowało, że będę podobny do tych prześlicznych komarów, które się nad naszym stawem unosiły. Jeszcze dzień, myślę sobie, jeszcze drugi i wyjdę ze swej ciemnej kryjówki.

Tak się też stało.

Skorupa wkrótce pękła. Wysunąłem głowę. Mógłbym już lecieć, ale się bałem. Nuż zmoczę sobie skrzydełka? wtedy będzie już po mnie.

Nie, pomyślałem, wstrzymam się trochę, zobaczę, jak to inne komary wydostają się ze swojej skorupy.

A tymczasem, z dawnego pancerza swego zrobiłem czółenko i pływam po wodzie, przyglądając się wkoło moim braciom.



Przedstawiam tę swoją podobiznę.
 Tu jestem pędrakiem. Po obu stronach ciała miałem włoski,
 które mi poruszałem, kiedy chciałem pływać. Dwie rurki z tyłu
 służyły mi do oddychania.
 Z drugiej strony jestem poczwarką.

Rozmaicie się im działo: jedne wyłaziły szczęśliwie, ulatywały nad wodą i wesoło brzęczały; inne przewracały się, wpadały do wody i ginęły w niej na zawsze.

Ja wydostałem się ostatni.

Wzleciałem i zacząłem się rozglądać wkoło, a słońko na moje powitanie olśniło mię całego. Ogrzałem się, wzmocniłem i poleciałem wyżej. Mnóstwo spotykałem rozmaitych much, muszek. Powitałem wszystkie, ale nie chciałem przestawać z nimi — to takie niemądre stworzenia! Odleciałem do lasu.

Zbliżam się i widzę że nad sosnami unosi się cały rój komarów, takich jak ja. Pospieszyłem do nich. Witano mię bardzo uprzejmie, wypytywano się kiedy i skąd przybywam, oglądano i obracano na wszystkie strony i w końcu przyjęto mię do gromady.

Ucieszony tem bardzo, zacząłem się przysłuchiwać brzęczeniu. Jeden opowiada jak mu trudno było żeru dostać; drugi, jak przed jaskółką umykał; trzeci użalał się, że o mały włos nie trafił w sieć pająka, gdzie już kilka komarów wplątanych siedziało.

Słuchałem z wielką ciekawością. Mile mi dzień zeszedł. Odtąd z towarzyszami już się nierozłączam.

Nad wieczorem jakoś trudniej nam było utrzymać się tak wysoko — zlecieliśmy niżej.

Latamy tu i owdzie. Nagle spotykam wieśniaka powracającego do domu.

Dopędzamy go i zaczynamy mu śpiewać naszą piosenkę, później siadam mu na czoło; ale ten brutal spędza mię czempredzej.

Wstaję i zaczynam mu teraz nad samem uchem nucić. Może, myślę sobie, nie dosłyszał dawniej mego śpiewu i dlatego tak mało mię ceni.

A on niewdzięcznik jak machnie ręką, jak potrąci, ażem parę koziołków w powietrzu przewrócił.

Rozgniewała mię ta niegrzeczność wieśniaka, poleciałem teraz cichutko do niego, usiadłem na nosie, wysunąłem swój ostry sztylecik, który mam z przodu, zagłębiłem go w skórę wieśniaka i zaczynam ssać krew. O, żebyście wiedzieli jaka to wyborna rzecz? Niczem wszystkie rośliny i owady.

A mój wieśniak jak się nie zerwie, jak się nie uderzy po nosie! Myślał że mię zabije, a ja już dawno nad głową jego krążę. Zaczyna trzeć nos, aż mu bąbel wyskoczył biały.

Muszę się przyznać w sekrecie, że kłując wieśniaka zapuściłem pod skórę jego trochę jadu ostrego. Nie zawsze to robię, ale tym razem tak mię ten człowiek swoim brutalnem postępowaniem rozłościł, że postanowiłem się zemścić.

Ale raz skosztowawszy krwi ludzkiej, nie mogłem się powstrzymać i nadal od tej pokusy. W dzień lataliśmy sobie nad lasem, ale wieczorem

musiałem choć na krótko wpaść do ludzi i parę kropli krwi się napić.

Rozmaite zwiedzałem miejsca. Czasem przylatywałam do chałupy wieśniaka, czasem do mieszkań letnich, co pod lasem stały. A miałem nie mało pociechy.

Raz lecąc, patrzę, babcia siedzi na balkonie, pończochę robi. Znużyła się widać trochę i zdrzemnęła; a ja czempředzej wypadam. Na nosie usiąść babci nie wypadało. Siadam na ręce i kłuję.

Babcia się budzi, zaczyna trzeć rękę, widzi bąbel, nie może się domysleć, kiedy ją komar ugryzł.

Nadewszystko jednak wolę krew dzieci i cieszę się niezmiernie, gdy mają nóżki albo rączki gołe, bo to takie pulchne, krew taka słodka!...

Co prawda, towarzysze moi często życiem przypłacają to łakomstwo; ale trudno, żyjemy tak krótko, chcemy więc użyć przyjemności.

Tak też i ja czuję, że mój zgon nastąpi nie długo, bo już noce coraz zimniejsze. Polecę tylko do stawu, złożę kilka jajeczek i umrę gdzie na listku.

Tylko ty mój drogi czytelniku, nie zabijaj mię przedwcześnie, a ja ci damę słowo, że dużo krwi twojej nie wypiję.





Wiewiórka.

obszernym lesie iglastym mieszkała sobie wiewióreczka mała zwinna i wesoła.

Bo tak prawdę mówiąc, czego się miała smuć! Las cały do niej należał, a nikt jej nie wzbraśniał i do drugiego polecieć. Szyszki w lesie i orzechy mogła choćby wszystkie pozabierać, nikt nie przeszkadzał, a przed nieprzyjaciołmi umiała tak zemknąć, że żaden dogonić jej nie zdołał.

Burze, wiatry, niepogody, również jej nie przestraszały. Miała ona własne mieszkanie w dużej dziupli starego dębu, a gdy się w niej skryła, żadna kropelka do niej się nie dostała, ani wiatr przez szparę nie doleciał.

W ziemię też żadnego zmartwienia nie zaznała.

Na skórze jej odrastało gęste i ciepłe futerko; mogła bezpiecznie mrozy wytrzymać, a chociaż na leszczynie orzechów już nie było, to jednak miała ich dosyć w dziupli złożonych. Uzbierała sobie jeszcze na jesieni.

Długo tak szczęśliwie wiewióreczka skakała po lesie, żadnej biedy nie zaznała, ale razu jednego i jej się wydarzył smutny wypadek.

Pewnego poranku zimowego siedzi ona na grubej gałęzi sosnowej i wybiera z szyszki ziarenka, aż tu słyszy szczekanie. Pies uwija się w koło, na wiewiórkę patrzy i zęby wyszczerza. Ale wiewiórka śmieje się z niego. Wie bowiem dobrze, iż to nie żadna kuna — na drzewo się nie wdrapie, ani sowa — z góry nie spadnie i nie porwie jej.

— Niech tam sobie szczeka — myśli sobie wiewiórka,

W tem rozległ się strzał jeden za drugim.

Wiewiórka nie wiedziała nawet jak się znalazła na ziemi.

W głowie jej się zamąciło, straszny ból poczuła w nodze.

Myśliwy tymczasem pospiesznie zbliżył się do zwierzątka, mówiąc do swego towarzysza.

— A to mi się dzisiaj wiedzie! — jużem dwunastą wiewiórkę zabił. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będę miał futro na całą salopę.

Z temi słowy bierze wiewiórkę do ręki, ale ta miała tylko dwie nóżki przestrelone, biedz nie mogła i tylko podniosłszy główkę żałośnie piszczała.

Myśliwemu żal się zrobiło biednego stworzenia; wziął ją na ręce, włożył do torby i poniósł do domu.

Wielka była radość dzieci, gdy zobaczyły żywą wiewiórkę. Uprosiły ją sobie u ojca i zabrały do leczenia.

Radziły jak umiały. Mama też im dawała wskazówki pielęgnowania chorego zwierzątka.

W końcu tygodnia wiewiórka powoli zaczęła skakać po pokoju.

Przez ten czas przyzwyczaiła się do dzieci, nie uciekała od nich; wiedziała bowiem, że jej ludzie ulgę przynoszą.

Dzieci niezmiernie się cieszyły, że mają już zdrową wiewiórkę; wsadziły ją do klatki, przynosiły jej bułki, cukru, owoców do jedzenia, a każde z nich chciało uczestować wychowanekę.

Minęło jeszcze parę dni. Dzieci obmyślały jakich figielków nauczyć mają wiewiórkę. Często do niej przybiegały; ale wkrótce spostrzegły, że wiewiórka coraz smutniejszą się staje: traci apetyt, bułeczka i cukier pozostają nietknięte, a sama siedzi z główką zwieszoną.

Poszły na naradę do rodziców i dowiedziały się wkrótce, że wiewióreczce zapewne bardzo żabki

urośli i teraz nie może ani pyszczka zamknąć, ani żadnego pokarmu przyjmować.

Wtedy to dzieci przypomniały sobie, że nie dały orzechów wiewiórcze; zakrzętnęły się prędko i całą garść wsypały jej do klatki.

Wiewiórka rzuciła się na nie, jeden za drugim gryzła i już nic więcej jeść nie chciała. Ząbki rzeczywiście jej zmały. Wiewiórka znowu była zdrowa i wesoła.

W mieszkaniu myśliwego rozgościła się jak u siebie w lesie, biegała po wszystkich pokojach, wdrapywała się na szafy, drzwi, a najwięcej uciechy dzieci miały gdy siadała im na ramieniu.

Jednak wkrótce musiały się dzieci rozstać ze swą wychowanką.

Biegając po wszystkich kątach, wiewiórka zaczęła ogromnie dużo szkody wyrządzać: pogryzła meble, dywan, nogi u krzeseł i wiele innych rzeczy. Było to bardzo nieładnie z jej strony; ale przecież nie można jej potępiać, takie już zęby miała z przodu, że odrastały nader prędko i ścierać je musiała wciąż twardymi rzeczami.

Z zalem wielkim wypuścili dzieci z domu swą ulubienicę do lasu:

Wiewiórka nie miała nic przeciwko temu, gwiźnęła parę razy i była już na czubku drzewa.

Bo chociaż jej w domu myśliwego było bardzo

dobrze; zawsze jednak wolała las swój niż mieszkanie ludzkie.

Znowu bujała na gałązkach, znowu zaczęła życie swobodne i wesołe.

O dzieciach wszakże nie zapomniała, od czasu do czasu wpadała do mieszkania na chwilkę, posiedziała trochę i znowu zmykała do lasu.

